

GŁOS

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie Rs. 7 kop. —
Półrocznie 3 „ 50
Kwartalnie 1 „ 75
Miesięcznie — „ 60

Za odnośnienie do domu
dopłaca się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca
się kop. 20.

Cena pojedynczego nu-
meru bez dodatku k. 20.

Prenumerata na Prowincyi
i w Cesarstwie:
Rocznie Rs. 9 kop. —
Półrocznie 4 „ 50
Kwartalnie 2 „ 25

Za Granicą:
Rocznie 12 guld.—18 m.
Półrocznie 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje kan-
tor Redakcyi po kop. 10 za
wiersz petitowy lub za je-
go miejsce. Reklamy po
kop. 25.

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCYJA i ADMINISTRACYJA
WARECKA Nr. 9.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden
zeszyt dzieł Spencera.

TREŚĆ: I. Pod płaszczykiem moralności, przez P.—II. Społeczne znaczenie kasy pomocy adwokatów przysięgłych, przez Ci.—III. Nasza literatura dla ludu, przez K. Bystryckiego.—IV. Rachunek bieżący, przez J. H. Siemienieckiego.—V. Bez obłudy, przez Maryjana Bohusza.—VI. Głosy.—VII. Z kraju, przez J. Nieborskiego.—VIII. Korespondenryje: z Olkuskiego, przez Chochlika.—Z Cieszyna, przez Gazdę.—IX. Przegląd społeczny.—X. Przegląd polityczny.—XI. Kronika powszechna.—XII. Odpowiedzi od redakcyi.—XIII. Ogłoszenia.

Pod płaszczykiem moralności.

Pod wrażeniem, wywołanem ujawnieniem jednej z jaskiń, w których powolną śmiercią z głodu i braku opieki giną codziennie dzieci ubogich matek, najczęściej dzieci „ojców niewiadomych”, publiczność zajęła się żywo sprawą opuszczonych niemowląt. Zajęcie to wyraziło się konkretnie w projekcie utworzenia instytucyi publicznej dla wychowywania podrzutków i w zbieraniu składek na ten cel. Ofiarność ogółu niewątpliwie dostarczy środków odpowiednich, jeżeli umyślnie hamowaną nie będzie. Projekt zaś przytulku czy schroniska dotychczas jeszcze dokładnie nie został określony i podlegać winien dyskusyi. Wiadomo również, że władza zwróciła uwagę na tę sprawę, co wpłynąć może nawet, jak zapewniają niektóre pisma ruskie, na przyspieszenie decyzyi prawodawczej, dotyczącej wogóle dzieci nieprawych.

Jak się zdaje, opinia publiczna oświadcza się za przywróceniem t. zw. „żłobka” lub „koła”, to jest za zniesieniem a przynajmniej uproszczeniem formalności przy przyjmowaniu podrzutków. Dodać trzeba, że od lat dwóch w kilku większych miastach prowincjonalnych (Łódź, Lublin) podnoszono projekt założenia tego rodzaju przytulików i przez czas pewien zbierano nawet składki.

Tymczasem w prasie zaczynają odzywać się głosy, potępiające instytucję domów dla podrzutków, zwłaszcza zaś żłobków—w imię „nauki i moralności”. Ponieważ głosy te nie mogą pozostać bez wpływu na zdanie publiczności w danej sprawie, należy argumentację tych szermierzy „nauki” i „moralności” wystawić na światło i przyjrzeć się jej dokładnie. Przedewszystkiem jednak zaznaczyć trzeba, że „nauka” nazywają w danym wypadku zbiór wskazówek praktycznych i recept z dziedziny prawa administracyjnego, oraz kilka odpowiednio dobranych notatek statystycznych, moralnością zaś—zbiór przepisów obyczajności filisterskiej.

Argumenty przeciwko przytulkom dla podrzutków i żłobkom wskazują, że instytucje te: 1) nie działają skutecznie, a często są na-

wet szkodliwe, 2) że z charakteru swego są niemoralne.

Zakłady dla podrzutków nie odpowiadają swemu przeznaczeniu, mówią ich przeciwnicy, ponieważ śmiertelność jest tu znacznie większą, aniżeli wśród dzieci, znajdujących się pod opieką rodzicielską. Najgorliwsze starania spowodowały zaledwie pewne zmniejszenie cyfry śmiertelności, nie zdołały jednak doprowadzić jej do normy. Doświadczenie wskazuje, że tak jest istotnie, chociaż o tych najgorliwszych staraniach dużo dałoby się powiedzieć. Ale przypuśćmy, że śmiertelność w schroniskach dla podrzutków jest i musi być większą—to czyż to dowodzi szkodliwości tych instytucyj? Czyż te dzieci, które nie będą przyjęte do przytulików, znajdą opiekę rodzicielską. Czy, jak słusznie powiada dr. Markiewicz „zdrowy rozsądek pozwala przypuszczać, iżby te tysiące niemowląt, które z chwilą wprowadzenia reformy (tj. zniesienia żłobka) przyjęcie do warszawskiego domu podrzutków miały zamknięte, *rodzić się przestały lub gdzieindziej lepsze znalazły schronienie?*” Tak, znalazły schronienie u Skoblińskich, Kokoszek, Szyfersowych i t. p. Matka, która wkładała dziecko do „koła” teraz porzuca je na ulicy, w sieni, w ustępie; w najlepszym razie oddaje „na garnuszek”, tj. na śmierć głodową w najgorszym—dusi lub topi. Śmiertelność w przytulkach jest znaczną, ale czy dowiedziono, że zamknięcie tych instytucyj nie powiększa śmiertelności wogóle. Prosta logika powiada, że tak być musi. Ba, ale logika nie obowiązuje, kiedy chodzi o „moralność”, kiedy „nauka”, ma odmienne zdanie. Są przecie publicyści, którzy mówią o konieczności zbiorowego wychowania dzieci, o społecznych „mameczarniach” a jednocześnie powstają przeciw przytulkom, kiedy właściwie są one pierwszą próbą tego rodzaju instytucyj. Bo czemuż się różni przytułek taki od mameczarni? Tylko nazwą i organizacją, ale nikt nie mówi przecie, że dotychczasowe schroniska są wzorowo urządzone. Jeżeli wielka śmiertelność jest koniecznym zjawiskiem w przytulkach, to w „mameczarniach” znajdziemy ją również.

Bardziej jeszcze grzeszy logice argument, poparty powagą znanego statystyka

Oettingena. Ten ostatni twierdzi, że istnienie żłobków nie przyczynia się wcale, do zmniejszenia liczby dzieciobójstw. Przeciwnie, w krajach, gdzie są żłobki bywa nieraz dzieciobójstw więcej, aniżeli tam, gdzie instytucyj tych niema.

Być może, ale gdyby żłobków nie było, to dzieciobójstwa zdarzały by się jeszcze częściej. Ilość dzieciobójstw w danym kraju zależy od mnóstwa czynników, jak stosunki społeczne, rasa, wyznanie, kultura, a jak utrzymują niektórzy — nawet warunki topograficzne.

Istnienie żłobków może tylko cyfrę, właściwą dla danego kraju, podwyższać lub obniżać. Przyczyną dzieciobójstwa, o ile nie zostało ono popełnione w stanie niepoczytalnym, bywa zwykle wstyd lub nędza ostateczna matki. Niepodobna przypuścić, żeby matka, mając możność umieszczenia dziecka, pragnęła koniecznie pozbawić je życia.

Przypuszczając nawet, że istnienie żłobków nie wywiera żadnego wpływu na zmniejszenie liczby dzieciobójstw, nigdy nie może przyczynić się do ich zwiększenia, bo niema dla tego żadnej racyi.

Przytulki dla podrzutków są szkodliwe, ponieważ bowiem uświęcają lub przynajmniej tolerują „niemoralność”, twierdzą ich przeciwnicy. Ani stosunek płciowy kobiet z mężczyznami, ani rodzenie dzieci nie mogą być niemoralnymi, są to bowiem przyrodzone funkcje organizmu. Niemoralnymi są tylko szczególne warunki społeczne, które tym czynnościom nadają charakter anormalny. Niemoralnem jest to, że ojciec może wyrzec się dziecka i nie ma sposobu zmusić go do spełnienia obowiązku wychowywania potomstwa, niemoralnem jest to, że nędza zmusza matkę do zrzeczenia się tego obowiązku, niemoralnem jest że opinia gawiedzi zniesławia kobietę, która nie spełniła określonych formalności, nie wykupiła patentu na prawo rodzenia dzieci, że opinia ta przesładuje nawet dziecko, będące owocem związku nieślubnego.

Ale instytucje dla podrzutków i żłobki są raczej usiłowaniem złagodzenia wymagań tej wstrętnej pruderyi, tej suchej rutyny etycznej. Prawda, jest to palijatywa bardzo skromna, jest to ustępstwo bardzo małe, słaby, bez-

wiedny nieraz protest uczucia humanitarnego przeciw twardym formułom przyzwoitości uprawnionej. W każdym razie takie nawet drobne objawy uczuć ludzkich, szlachetniejszych, cenić należy, pielęgnować i rozwijać.

Pierwszy a dotychczas jedyny w kraju przytułek dla niemowląt założony został przez znanego filantropa, ks. Baudouina, w połowie XVIII wieku. Już od 1770 r. przyjmowano 400—800 dzieci, w 1815—1080, a na wsi umieszczono 1081. Warszawa miała wtedy nie wiele więcej nad 50,000 ludności. Od 1816 do 1831 r. przyjmowano średnio 1050 (700—1400) dzieci, a na wsi było wciąż na wychowaniu od 800 — 2400. W ciągu okresu od 1832 do 1858 r. było minimum dzieci 1460, maximum 5160, z tej liczby na wsi od 1750 do 4100. Od 1859 do 1865 r. liczba dostarczanych podrzutków wynosiła rocznie od 1950 do 2680, wogóle zaś było pod opieką dzieci 5200—7600.

Śmiertelność dzieci w tym czasie była dosyć znaczną, nie tak jednak wygórowaną, jak opowiadają przeciwnicy żłobków i przytułków, w szpitalu bowiem wahała się w granicach 14 proc.—50 proc., a na wsi zaś 12 proc.—20 proc. rocznie.

Ponieważ liczba podrzutków ciągle wzrastała a szpital Dzieciątka Jezus stał się niejako przytułkiem dla całego kraju, w 1871 r. „koło” zniesiono i zaprowadzono t. zw. biuro przyjęcia. Chociaż jednak wymagano od matek dosyć uciążliwych formalności, liczba podrzutków nie wiele się zmniejszyła i wynosiła w 1872 r. 4115. Dopiero wydana w 1878 r. instrukcja dopięta zamierzonego celu. Od tego czasu pozwolono przyjmować tylko dzieci, zrodzone w Warszawie z matek, przynajmniej od roku w mieście zamieszkałych. Od razu w 1879 r. liczba podrzutków spada do 1666, Kuryjery zaś zyskują nową rubrykę— „wyrodne matki”—w której pomieszczają opisy dzieciobójstw i notują wypadki porzucenia niemowląt.

Cyfra tych wypadków, jak zaznacza jeden z publicystów—z rocznikami pism brukowych w ręku—szybko idzie w górę. Statystyki porównawczej dzieciobójstw w dwóch okresach nie ma wcale, trudno więc wyciągać jakieś pewniejsze wnioski, faktem jest jednak, że dla tych kilku tysięcy niemowląt, które przed 1878 r. znajdowały przytułek w Warszawie, nie urządzono na prowincyi żadnego schroniska, że nie przedsięwzięto żadnych środków celem rozciągnięcia nad nimi opieki. Faktem jest również, że od tego czasu policja wykrywać zaczyna „fabryki aniołków” w których setki niemowląt umierały z wycieńczenia.

Zredukowanie liczby podrzutków przedsięwzięte zostało jakoby w tym celu, że łatwiej tym uprzywilejowanym, które znalazły przytułek, zapewnić bardziej higieniczne warunki wychowania. Wątpić jednak można, czy ten cel został osiągnięty. W 1887 r. było dzieci w zakładzie 122, na wsi 3135, przyjęto w ciągu roku 1938, razem więc 5295, z których zmarło 946; w 1888 r. znajdowało się w zakładzie 195, na wsi—3822, przybyło 2002 razem—6019, z których zmarło 1087. Śmiertelność bynajmniej nie jest wielką, ale, jak widzimy, przewyższa jednak cyfry minimalne dla okresu od 1850 do 1865 r., kiedy liczba dzieci przyjmowanych do zakładu i znajdujących się na wsi była wyższą. Trudno zresztą było poprawić warunki higieniczne wobec tego, że zasiłek, udzielany przez skarb i mia-

sto, ze 133,000 rubli zmniejszono do 87,000 rubli.

Być może, iż zniesienie domów dla podrzutków, w niektórych krajach nie pociągnęło za sobą tak smutnych, jak u nas, skutków. Ale przeciwnicy żłobków, którzy wysuwają ten argument, zapominają, że jednocześnie powstały tam inne instytucje, spełniające poniekąd tę samą rolę. We Francyi zaczęto udzielać zasiłki matkom, wychowującym dzieci nieprawie (secours aux filles-mères), chociaż przytułków bynajmniej nie zniesiono. Na zasiłki tego rodzaju wydano w 1883 r. 4,928,561 franków.

W miarę wzrostu liczby matek, otrzymujących zasiłki, zmniejszyła się liczba podrzutków w zakładach. Towarzystwa dobroczynne „opieki macierzyńskiej” dają też dosyć hojne zasiłki. W innych albo działają podobne instytucje, albo utrzymanie podrzutków i dzieci nieprawych spada na gminy. Zresztą prawo poszukiwania ojcostwa oddziaływa też pośrednio.

Niewątpliwie instytucje podobne czynią istnienie żłobków i przytułków wychowawczych dla podrzutków mniej potrzebnym, nie znaczy to jednak, że zakłady takie bezwarunkowo usuwać należy. Trzeba liczyć się z faktem, że wiele matek nie chce i nie może, pomimo zasiłku, wychowywać dzieci. Pomoc pieniężna zapobiega nędzy, ale pobudką do porzucenia dziecka bywa często wstyd, obawa opinii publicznej, która potępia i zniesławia kobietę, mającą dziecko nieślubne. Zresztą zasiłek, żeby był pomocnym, musi wynosić znaczną sumę, jeżeli bowiem matka zniewolona będzie pracować przez dzień cały, a pomimo to żyć w biedzie, położenie dziecka nie polepszy się wcale.

Ale wobec dzisiejszych warunków społecznych publiczne zakłady wychowawcze potrzebne są nie tylko dla podrzutków, nie tylko dla niemowląt, porzuconych przez matki. Robotnica fabryczna, przez dzień cały zajęta pracą, szwaczka w magazynie, służąca i t. p. nie mają możliwości wychowywania dzieci przy sobie, oddają więc je „na garnuszek”, jakkolwiek nie zrywają z nimi związku. Kilkorublowy zasiłek miesięczny nic tu nie poradzi, bo matka wyrzec się pracy nie może, a pomocy materyjalnej nieraz nie potrzebuje nawet, gdyż za dziecko bez wielkich wysiłków płaci. W wielkich ogniskach fabrycznych zagranicą dzisiaj już znajdują się ochronki dla niemowląt, które matki na noc tylko zabierają z sobą do domu, a jeżeli mogą, to i podczas spoczynku południowego karmią je pierśią. Są zaś i takie ochronki, gdzie dzieci przebywają stale a matki w pewnych określonych terminach mają prawo je odwiedzać. Taki zakład wychowawczy, urządony lepiej, aniżeli dzisiejsze żłobki i przytułki, jest już u nas niezbędnym, przyjmować zaś winien wszystkie dzieci, nie krępując matek formalnościami. Sprawa zbiorowego wychowywania niemowląt jest koniecznością, wynikającą z warunków dzisiejszego ustroju społecznego i coraz gwałtowniej przypominającą się będzie opinii publicznej.

O zniesieniu więc przytułków nie powinno być nawet mowy, ale natomiast jak najgorliwiej krzątać się należy około zreformowania gruntownego tych instytucyj, nieodpowiadających w znacznej mierze swemu misionemu zadaniu.

P.

SPÓŁECZNE ZNACZENIE KASY POMOCY ADWOKATÓW PRZYSIĘGLYCH.

Jakkolwiek czwarty już rok ubiega od czasu powołania do życia kasy pomocy adwokatów przysięgłych w Warszawie i instytucja ta funkcjonuje z korzyścią dla swoich uczestników, których zastęp corocznie się zwiększa, przeciętna jednak publiczność nie wiele wie o tem, a już nikt prawie z niezainteresowanych bezpośrednio nie widzi tej strony, z której własne stowarzyszenie to nabiera znaczenia społecznego w szerszym zakresie.

Rzecz to jednak dziennikarza widzieć nawet to, na co nikt nie zwraca uwagi i oświetlić punkt, który nie powinien kryć się w cieniu a to dla dobra tych wszystkich, którzy mają, lub mieć mogą do czynienia z palestrą tutejszą.

Wiadomo, że jak w każdej warstwie społecznej, tak i pomiędzy adwokatami, są ludzie pojmujący swoje zadanie, i idący tylko drogą prawą, prowadzącą do spełnienia swoich obowiązków, jak należy, jak również są i tacy, którzy uzdolnienie swoje zużytkowują w wprost przeciwnym kierunku i działalność swoją ograniczają na wyzyskiwaniu z korzyścią dla siebie nieświadomych, a szukających u nich porady klientów.

Jakkolwiek dużo by można powiedzieć o obroncach prywatnych i pokątnych doradcach, pomijamy ich jednak, gdyż nie o nich w tej chwili idzie, lecz o adwokatów przysięgłych i ich pomocników, którzy, jako skończeni jurysci, mają i szerszy zakres działalności i większe pole do nadużyć, w razie złej woli,

Wprawdzie adwokatura nasza cieszy się niby dobrą opinią i nie zasługuje na ogólne skarcenie, są jednak wyjątki i w tych stosunkach, które należy napiętnować, a to ze względu na to, że panowie ci, działając szkodliwie pod egidą prawa, robią ujmę tej dobrej opinii i osłabiają zaufanie, jakie winni wzbudzać adwokaci przysięgli, pojmujący ważność swego zawodu.

Aby zaś dowieść, że wyjątki takie nie są mytem, przytoczymy choćby jeden fakt, jaki miał miejsce niedawno.

Do jednego z adwokatów przysięgłych zgłosił się pewien administrator domu p. X., który przegrawszy sprawę w sądzie pokoju, chciał założyć apelację do Zjazdu sędziów.

Sprawa to była tego rodzaju:

Wskutek braku w tym domu odpowiedniego dla rzędcy lokalu, p. X. odnajął takowy od jednego z lokatorów. Po jakimś czasie ten ostatni, ze względów pobocznych a zyskowych dla siebie, skorzystał z braku formalnego kontraktu i wytoczył panu X. sprawę o eksmisję; ponieważ zaś sprawy tej p. X. dla braku czasu w pierwszej instancji nie popierał, więc przegrał. A że z jednej strony miał za sobą wszelką rację i świadków, mogących dowieść niesłuszności pretensyi owego lokatora, z drugiej zaś—niemożność mieszkania w domu przez siebie zarządzanym, stosownie do rozporządzeń policyjnych, pozabawiała go miejsca rzędcy, przeto sprawa nader była ważna i dla tego powierzył ją adwokatowi, celem wygrania takowej w Zjeździe, przed terminem eksmisyi, co też adwokat najsolenniej mu zapewnił, tak pod względem wprowadzenia sprawy przed terminem eksmisyi, jak również pod względem wygrania jej.

Powierzył ją jednak w złe ręce, adwokat bowiem wpłynął na zwłokę tak skutecznie, że sprawa wyznaczoną została już po terminie eksmisyi, wskutek czego p. X. zmuszony był wyprowadzić się z domu a na domiar złego, tenże adwokat wcale sprawy nie popierał i do sądu się nawet nie stawił, wskutek czego sprawa, naturalnie, upadła a p. X. stracił miejsce rzędcy.

Kiedy tenże zgłosił się do adwokata aby dowiedzieć się, jaki obrót wzięła sprawa, ten ostatni z czelnością oświadczył mu, że sprawy nie bronił a to dla tego, iż sądził że p. X. inaczej się rozmyślił i pieniędzy danych mu z góry, jako honorarium za obronę sprawy, której, jak to widać z powyższego, wcale nie bronił, zwrócić nie chciał, twierdząc, że „z zasady nic nie zwraca”.

Wskutek więc niesumienności adwokata przy-

sieglego, p. X. został dotkliwie skrzywdzony i poniósł znaczne straty materyjalne.

W takich wypadkach prawo przewidziało sposób postępowania i wskazuje drogę, na której poszkodowany może szukać satysfakcji, a mianowicie: należy wnieść skargę do prezesa sądu okręgowego, który poleca wyprowadzić w tym wypadku śledztwo administracyjne.

Droga ta jednak nie dla każdego przystępna, gdyż najeżoną jest formalnościami, których spełnienie pociąga za sobą znaczną stratę czasu i wymaga licznych dowodów, co też wielu odstrasza, tak, że wolą ponieść straty i krzywdę moralną, niż błądzić po nieznaney dla siebie drodze i tracić czas, wypełniony ciężką pracą.

Otóż kasa pomocy w ustawie swojej posiada hamulec, wstrzymujący od niehonorowych i niesumiennych postępów członków swoich, adwokatów przysięgłych, i z tym właśnie punktem chcemy zaznajomić czytelników naszych.

Według § 6 ustawy, uczestnik który popełnił czyn przeciwny prawu i honorowi lub godności swego zawodu, ulega wykreśleniu z liczby uczestników kasy i traci prawa, zapewnione uczestnikom i ich rodzinom, jakie nadaje im ustawa.

Do kasy tej należą wszyscy prawie adwokaci przysięgli i ich pomocnicy, gdyż, wnosząc bardzo małe składki, zyskują dla siebie i swoich rodzin prawa w szerokim zakresie i ulgi materyjalne. Kasa udziela im pożyczek na bardzo umiarkowany procent, lub bezprocentowych, wydaje zapomogi jednorazowe lub peryjodyczne uczestnikom pozbawionym środków utrzymania z powodu choroby, kalectwa, lub podeszłego wieku, oraz chwilowo będących w potrzebie, skutkiem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, wydaje wsparcia wdowom i dzieciom po zmarłych uczestnikach lub w braku wdów i dzieci, innym najbliższym krewnym zmarłego, którzy wyłączenie z jego funduszów mieli utrzymania. Przytem wdowami kasa opiekuje się aż do zamążpójścia, dziećmi zaś do 16 lat wieku.

Zakres więc działalności tej instytucji jest obszerny i filantropijny, lecz za ulgi i dogodności, jakie daje swoim uczestnikom, żąda od nich uczciwości i honoru i to jest właśnie jej zaletą.

W razie więc krzywdy poniesionej wskutek niesumienności lub złej woli adwokata, wskazujemy klientom tę drogę pośrednią, łatwą, nie wymagającą żadnych formalności i przystępną dla każdego, winni oni zażalenia swoje skierować do zarządu kasy adwokatów przysięgłych, która się mieści przy izbie sądowej a otrzymać mogą zupełną satysfakcję moralną.

C.

Nasza literatura dla ludu.

Z prawdziwą radością zaznaczyć musimy, iż na książkach ludowych coraz częściej zaczynają się spotykać nazwiska naszych najlepszych beletrystów i wogóle utalentowanych pracowników pióra. Orzeszkowa, Prus, Dygasiński, Jeź, Kraszewski, Bałucki, Morzkowska Kosiakiewicz—bądź to w skröceniach, bądź w oryginalach zaczynają zapełniać wielkie braki naszej literatury ludowej. Niewiele tego wprowadzicie dotąd, nie wszystko trafnie wybrane lub opracowane, ale na tymczasem—Bóg zapłać i za to.

Do skröceń, a po części przeróbek, należy świeżo wydana *Czarownica*, Orzeszkowej. Treść oryginału „Dziurdziów” zapewne jest znaną czytelnikom: w skröceniach obecna została ona zachowaną prawie w zupełności. Rzucone na Pietrusię kowalową podejrzanie o czary doprowadza ciemną, przesadną rodzinę Dziurdziów do zbrodni: w pół pijani mordują oni mniemaną czarownicę, kobietę szlachetną i uczciwą, a sami dostają się pod sąd, skazujący ich na ciężką karę.

Opowiadanie nawet w skröceniach robi wielkie wrażenie, wykazując w pełnym grozy obrazie straszne skutki ciemnoty i zabobonów.

Prócz znacznego skröcenia (nie streszczenia), i większego zaakcentowania, że Pietrusia nie była czarownicą, zmiana w porównaniu z oryginałem polega na spolszczeniu nazwisk i wyrażen, które, jak wogóle u Orzeszkowej — noszą na sobie wyraźne piętno białoruszczyzny.

Małgorzatka, matusina pieszczołka.—A. Dygasiński. Jest to już trzecia powiastka ludowa A. Dygasińskiego, spostrzegacza wyborczego, pisarza,

władającego świetnym stylem, zbliżonym siłą i werwą do toku mowy ludowej. Miałem niedawno prawdziwą przyjemność, słuchając, jak chłopak wiejski z Lubelskiego czytał głośno, a potem opowiadał mi przygody Beldonka: trudno było odczuć różnicę pomiędzy chłopkiem opowiadaniem, a literackim stylem książeczki Dygasińskiego.

Tym samym właśnie językiem, co *Beldonek*, napisana jest i *Małgorzatka*. Treść tylko inna — pełna jakiegoś fatalistycznego tragizmu, którego, sądząc, należałoby w książkach ludowych unikać. Zresztą, nie jest to li-tylko osobisty mój pogląd: nie dalej, jak kilka dni temu zdarzyło mi się rozmawiać o książkach ludowych z człowiekiem z ludu, bardzo rozwiniętym, znającym rozmaite zakątki naszego kraju,—i takim znawcą naszej literatury ludowej, jakiego bodaj czy często spotyka się wśród inteligencji. „Wie pan!—powiedział mi—z powiastką, to lepiej żeby było tak: na początku źle, a na końcu dobrze... Takie książki to ludzie lubią czytać; a jak się ma na końcu zasmucić, to i czytać nie chce”. A tak właśnie dzieje się w „*Małgorzacie*”—Frankowi i Kaśce, dwojgu biedakom, urodziła się córka: „biedne to było, mizerne, chucherko takie”. Ojciec, zajęty ciężkim wyrobkiem, nietyle zwracał na nią uwagi; za to matka cackała, pieściła słabowitą dziewczynę, zamówienia nad nią robiła, na odpusty brała ze sobą, byle się tylko—wychowało. Raz zawołała cyganki—i ta, ku pocieszeniu strapionej matki, przepowiedziała dziewczynie świetną i szczęśliwą przyszłość... Życie jednak, to szare, powszednie — z drobiazgów złożone życie zadaje kłam wróżbie. Matka *Małgorzatki*, chcąc odzyskać pieniądze, jakie wypadkiem zgubiła, zapracowuje się na śmierć i umiera. Ojciec poszedł w świat na zarobek. Sierotę wzięto na służbę do dworu. Znowu los zdaje się jej uśmiechać: wyrasta na chwałką dziewczę, zaręcza się z poczciwym chłopakiem, Klimkiem Gajowiakiem, towarzyszem i przyjacielem lat dziecińczych. Oboje są na drodze do szczęścia... I byłiby zapewne szczęśliwi, gdyby nie to, że dołę ich opowiada pesymistyczny realista: Klimka w przeddzień prawie ślubu tratują na śmierć objeżdżane przezeń konie dziedzica...

Jakie wrażenie opowieść ta robić będzie na wsi, nie wiem. Byłoby dobrze, gdyby po jej przeczytaniu chłop powiedział sobie: „Otl wróżby swoją drogą, a życie—swoją”...

Krasula—opowiadanie Maryi z Soleckich Błotnickiej. Jest to przedruk „*Krasulki*”, wydanej w r. z. w „*Głosie*”, zmieniony o tyle tylko, że spolszczono rusińskie wyrażenia. I ta powiastka należy do rzędu smutnych, tragicznych. Andrzej, pijak i awanturnik, zostaje w u niesieniu zabity przez własną żonę w chwili, gdy wyprowadzić chce na sprzedaż ostatnią krowę, *Krasulę*, żywicielkę tej chłopskiej rodziny. Opowiadanie jest nadzwyczaj obrazowe; miejscami może za wiele tutaj (jak na rzecz ludową) psychicznej analizy: jednak całość wywiera wrażenie silne—i to właśnie czyni książkę wysoce tendencyjną, pomimo, że niema w niej nawet śladu tej banalności, jaka cechuje większość naszych umoralniających powiastek.

Za Smyrą, czyli herszt szwarcowników p. Maryję Waligórską. Warszawa. 1890.

Smyrą—nazywa się w pasie pogranicznym z Galicyją przemycana tiamąd okowita. Powiastka p. Waligórskiej jest skröceniem z jej obszerniejszego opowiadania, nagrodzonego w Warszawie na konkursie ludowym, zapowiedzianym w r. z. w „*Głosie*”, a in extenso drukowanego także w krakowskim *Świecie*. Przedstawia ona szereg charakterystycznych obrazków strasznej demoralizacji, jaką w wiosce nadgranicznej Królestwa szerzy przemycanie wódki i idące za tem powszechne pijaństwo i próżniactwo. Typów i obrazów przewija się tyle, że niepodobna ich tutaj streszczać: są one przeważnie wstrętne, bo takimi być muszą; szkicowane są grubo, ale plastycznie i realnie — widocznie brane z życia. Na tle ogólnej demoralizacji mile odbijają tylko dwie nieco sielankowe postacie kochającej się młodej pary.

Gdyby powiastkę *Za Smyrą* uważać jedynie jako protest przeciwko przemycaniu wódki, nie miałaby ona powszechnego znaczenia, tym bardziej, że w ostatnich czasach, dzięki nowym przepisom akcyzjnym, przemycanie to w znacz-

nym stopniu ustało. Powiastka ta wszakże jest raczej obrazowym głosem przeciwko pijaństwu wogóle,—i jako taka zasługuje na szerokie rozpowszechnienie, tym bardziej, że czyta się z ciekawością.

Pani Waligórską u nas poraz pierwszy, zdaje się, występuje na polu beletrystyki ludowej. Występ ten jednak zapowiada talent niewątpliwy i zdolność spostrzegawczą wielką. Jeśli do tych darów dołączy się ciepłe, serdeczne odnośnienie się do życia ludu, do jego biedy, jego niedoli umysłowej i moralnej, będziemy mieli z pani W. bardzo poważną i pożądaną pracowniczkę na niwie ludowej.

Szczęśliwy traf dał mi dziś do rozbioru jeszcze jedną książkę o znanym nazwisku, mianowicie: *Trzydzieści morgów*—Wicka z Warszawy (Wincentego Kosiakiewicza). Jest to pierwsza książeczka ludowa, napisana przez p. K., i stanowczo udatna tak pod względem treści, jak formy. P. Kosiakiewicz mniej zna wieś, niż Warszawę, ale życie wsi, na które patrzył, zaobserwował dobrze. Treść *Trzydziestu morgów* jest o tyle dziwną, że wygląda na wyjątkowo prawdziwe zdarzenie. Umiera we wsi stary, bezdzietny gospodarz Tomek. Przy jego śmierci jest tylko wychowana przezeń sierota Jagna i jej mąż Bartek. Jagna czuje się pokrzywdzoną tem, że stary nie zapisał jej części majątku, na którym od dziecka pracowała. Za pomocą jednego Niemca, który udaje przed wezwany rejentem i świadkami mocno chorego i umierającego Tomasza, spisuje fałszywy testament i staje się dziedziczką gruntu, z pokrzywdzeniem rodziny Tomasza.

Oszustwo udaje się w zupełności. Bartkowie używają majątku, jako istotnego dziedzictwa. Lecz szczęście to jest krótkim. Bartka gryzie sumienie i zarazem doprowadza go do śmierci. Bartkowej zaś dokuczają jej współnik, Niemiec, który groźbą wydania oszustwa wyłudza od niej pieniądze i doprowadza ją w końcu do ruiny. Morału wypowiedzianego w powiastce niema, lecz wysnuwa on się sam: źle nabyte—do czarta.

Dowcipnym tytułem opatrzoną jest książka w redakcyi Anczyca, znana dawno, a teraz w przeróbce wydana: *Najnowszy i najprawdziwszy wykład snów czyli Sennik, nieomylną wskazówką pomyślności i szczęścia będący*. Sennik ten jest ułożony zupełnie na wzór znanych tego rodzaju wydawnictw Breslauera i t. p. W abecadłowym porządku są podane rzeczy i zjawiska, mogące stanowić przedmiot snu, — lecz, jako wytłomaczenie, daje się odpowiedni morał lub rada praktyczna, np. „*Arendarz*—oznacza nieszczęście z pijaństwa. Należy więc mijać karcznię i nie dać się obalamucać hultajom, zapraszającym na wódkę”.—„*Brona*—oznacza smutek z powodu złego zawleczenia pola; należy przeto robotę taką sumiennie wypełniać” i t. p.

Szkoda tylko, że tłumaczenia snów nie zawsze są trafne; niekiedy podane są tak, że wiarę w sen podtrzymać mogą; np. „*Jaskółki*—przyjemną nowinę od krewnych lub znajomych zwiastują” (?), „*Kanarek*—zobaczenie się prędkie z ukochanym” (?) i t. p.

Niekiedy znowu rady są wprost niemoralne: np. „bądź pokorny, bo z tego powodu łaski doznasz...”

Wogóle jednak, jako antydotum krążących wśród ludu *Senników egipskich*, książka ta zasługuje na rozpowszechnienie.

K. Bystrzycki.

Rachunek bieżący.

Przed trzema tygodniami zaznajomiliśmy czytelników naszych z treścią i znaczeniem reskryptów cesarza Wilhelma. Jednocześnie z nami zabrał głos w tej sprawie p. K. R. Żywicki w *Prawdzie*. W dwóch tych artykułach faktyczne przedstawienie sprawy było nieco różne. Podczas gdy my upatrywaliśmy zupełną analogię między reskryptami cesarskimi, a poprzednią notą szwajcarską w tej samej kwestyi, p. K. R. Żywicki, przeciwnie, utrzymywał, że w artykułach pism codziennych, poświęconych reskryptom, „popełniono kilka fałszów”. „Przedewszystkiem uitożsamiono projekt szwajcarski z niemieckim, tymczasem w gruncie rzeczy pomiędzy nimi jest tak silna różnica, że jeden

musiał bezwarunkowo zostać odrzucony, aby drugi mógł się okazać". Różnica ta polegała miała, według p. K. R. Żywickiego, na tem, że „Szwajcaryja wystąpiła wyłącznie z zamiarem prawodawstwa fabrycznego”, gdy tymczasem Wilhelmowi II „idzie nie tylko o ustawodawstwo fabryczne, lecz być może jeszcze o coś więcej: o uregulowanie prawa produkcji międzynarodowej za pomocą ułożenia wzajemnego jej rozmiarów”. Interpelowani w tej sprawie przez jednego z naszych prenumeratorów, wyjaśniliśmy w „odpowiedziach od redakcyi” w Nr. 8 Głosu, że zdanie p. K. R. Żywickiego jest mylne, nie dodając do tego żadnych komentarzy. Sprostowanie nasze mocno się p. K. R. Żywickiemu nie podobało. Przyznaje się wprawdzie do błędu, zarzuca nam jednak jednocześnie, a raczej „dziwi się”, że nie dojrzelśmy „koniecznego związku” między fabrycznym prawodawstwem międzynarodowym a międzynarodowym uregulowaniem produkcji. W odpowiedzi swojej moglibyśmy się ograniczyć do zwrócenia uwagi p. K. R. Żywickiego na to, że w kronice życia społecznego za granicą nie mieliśmy potrzeby poruszać kwestyi, jakiej nikt dotąd na porządek dzienny nie postawił, ani rada szwajcarska, która kwestyi uregulowania produkcji poświęciła słów kilka w nocie, ani Wilhelm II, który nie wyrzekł o tem ani słówka. Ponieważ jednak musieliśmy już dotknąć kwestyi owego „koniecznego związku”, dodamy więc kilka uwag od siebie, naprzód dla tego, że kwestyja to istotnie ciekawa, po drugie zaś dla tego, że i tutaj między naszym widzeniem rzeczy, a widzeniem p. K. R. Żywickiego zachodzi pewna różnica, którą chcielibyśmy wyjaśnić.

Ujemne strony obecnego ustroju kapitalistycznego, jako to przeciążenie pracą nie tylko mężczyzn, ale nawet kobiet i dzieci, prowadzące wprost do zwyrodnienia rasy, nędza klas pracujących, ogromna a wciąż wzrastająca ilość niezajętych robotników, niepewność zarobków, ciągła kolejna zmiana ożywienia i upadku produkcji i t. d., dały się przedewszystkiem uczuć, naturalnie, robotnikom. Śród nich też najpierw powstać musiało dążenie do usunięcia tych stron ujemnych. Teoretycznym wyrażeniem tych dążeń jest żądanie radykalnej zmiany ustroju dzisiejszego, która, zresztą, zdaniem naukowych przedstawicieli tego kierunku, jest tylko logiczną i konieczną konsekwencją stanu obecnego. Ujemne strony kapitalizmu jednak zwróciły na siebie niebawem powszechną uwagę, jednocześnie zaś powstało dążenie do ich usunięcia. Ponieważ zaś pojawiło się ono wśród różnorodnych żywiołów, różnymi też okazać się musiały programy. Takim jest początek wszelakich socjalizmów: państwowego, katolickiego, chrześcijańskiego i t. d. Każdy z tych kierunków inaczej przedstawia sobie pożądaną przyszłość. Socjalizm ultramontański np. marzy o ustroju, który stanowilby zwrot ku wiekom średnim z ich cechami, organizacją stanową i t. d., z zachowaniem jednakże wielkiego przemysłu i połączonej z nim olbrzymiej wytwórczości pracy. Pomimo różnicy w zapatrywaniu na przyszłość, w praktycznych swych żądaniach przedstawiciele wszystkich prądów reformatorskich, nie wyłączając robotniczego, bardzo często zupełnie się zgadzają. Rzecz naturalna, że przytem różne prądy zapatrują się nie jednakowo na znaczenie i przypuszczalne rezultaty wspólnie żądanych reform, że każdy również upatruje w nich etap na drodze urzeczywistnienia swego ideału. Najważniejszymi z szeregu żądań praktycznych są: prawodawstwo fabryczne i uregulowanie produkcji. Jakkolwiek oba te żądania ściśle są związane logicznie, w praktyce jednak każde z nich urzeczywistniało się niezależnie jedno od drugiego i w zupełnie inny sposób. Reglamentacja pracy w fabrykach odbywała się na drodze prawodawczej i powstawała zwykle wskutek agitacji robotniczej, uregulowanie zaś produkcji odbywało się drogą umowy przedsiębiorców, za pomocą konwencyj, karteli, syndyków, trustów, rzadko przez państwo popieranym, najczęściej zaś tolerowanymi tylko, a nieraz i przesładowanymi ze względu na ich szkodliwość dla konsumentów. Pobudką do tworzenia tych związków był własny interes przedsiębiorców, chęć zapewnienia sobie większych i stałszych zysków¹⁾. Dotąd zarówno prawodawstwo fabryczne, jak i regulowanie produk-

cyi nie przekraczały granic państw oddzielnych, obecnie jednak znajdujemy się w przededniu ustanowienia prawodawstwa międzynarodowego, rodzi się więc pytanie, czy możliwym jest ono bez jednoczesnego uregulowania produkcji międzynarodowej, czy też nie.

Przyjrzyjmy się rozumowaniu p. K. R. Żywickiego w tej kwestyi. „Jeżeli warstwa robotnicza, powiada on, występuje z żądaniami międzynarodowego prawodawstwa, nie dba o skutki tych reform dla kapitalistów, niech całe nawet gałęzie przemysłu zbankrutują, to ją mało obchodzi. Odpowiednio w bezrobociu pierwszego maja zamierza ona żądać wszędzie jednaki reform”. Podkreślone w ustępie powyższym zdanie jest wprost niedorzecznością. Zbankrutowanie całych gałęzi przemysłu—wszak to głód i nędza tysięcy robotników, w tych gałęziach zatrudnionych. I to ich mało ma obchodzić. A cóż ich bardziej obchodzić może? Przecież nie marzenie o przyszłej dyktaturze klasowej, chociażby nawet z tak pożytecznymi dodatkami, jak wykoncypowane przez p. K. R. Żywickiego sprawianie „przykrego losu” chłopom za pomocą wywłaszczenia²⁾, bo żeby się doczekać tej przyszłości, trzeba przedewszystkiem nie umrzeć wpięć z głodu. Nie, zachowanie przemysłu leży zarówno w interesie robotników, jak i fabrykantów, jest to bowiem interes ogólnonarodowy. Jeżeli, jak utrzymuje dalej p. K. R. Żywicki, dla ochrony przemysłu od ruiny prawodawstwo międzynarodowe musi się konieczną wiązać z międzynarodowym uregulowaniem produkcji, to uregulowanie takie jest nie tylko interesem kapitalistów, ale i robotników zarazem. Jeżeli stawiają oni wszędzie żądania jednakowe, to nie dla tego, że ruina przemysłu mało ich obchodzi, ale z tej prostej przyczyny, że sądzą, iż wszystkie praktyczne trudności mogą być usunięte, i chociaż sami nie potrafiliby prawdopodobnie wskazać sposobu, są jednak przekonani, że ludzie fachowi potrafią to zrobić, jeżeli tylko zechcą. Nie może być zresztą wątpliwości o tem, że uregulowanie produkcji samo przez się jest dla robotników korzystnem, ustala ono zarobki, usuwa peryjodyczne wyrzucanie pracujących w szeregi „armii zapasowej”, szkodliwie oddziaływającej, jak to sam p. K. R. Żywicki przyznaje, na solidarność klasową. Wróćmy jednak do przerwanego rozumowania. „Przypuścmy, powiada p. K. R. Żywicki, że w Anglii i Niemczech przeprowadzono np. jednaki dzień roboczy. Wtedy angielskim przemysłowcom, którym podcięto już przez odpowiednie ustawodawstwo skrzydła bardziej niż niemieckim, dane zostaną szczególne premija w współzawodnictwie na rynku wszechświatowym w porównaniu z tymi ostatnimi. Oparcie międzynarodowego ustawodawstwa na jednakiem zażądzie doprowadziłoby zatem niemieckich przemysłowców do ruiny. Niemcy przeto winny żądać niejednakowego dla odmiennych państw ukształtowania owej reformy. Lecz czy różne Anglije i Francyje zgodzą się na coś podobnego i pozwolą się w ten sposób rugować z rynków?” Naturalnie, że żadne państwo nie zgodzi się na narzucanie sobie przez państwa współzawodniczące prawodawstwa fabrycznego, surowszego, niż ogólnie przyjęte, jakkolwiek, prawdopodobnie oddzielne państwa rozwijać będą dalej normy, przez prawodawstwo międzynarodowe uznane, wskutek przyczyn wewnętrznych. Czy jednak przyjęcie norm jednakowych okazałoby się tak zgubnem dla przemysłu Niemiec, jak to przypuszcza p. K. R. Żywicki, to jeszcze kwestyja sporna—Kautsky naprzykład³⁾ zarzut taki nazywa wprost marnym (nichtig). Przedewszystkiem w krajach, które później weszły na drogę przemysłową, jak np. w Niemczech, przemysł rozwija się nader szybko i nie można już stanowczo utrzymywać, żeby przemysł tych krajów, w razie wprowadzenia jednakowych norm, nie mógł wytrzymać konkurencyi z przemysłem krajów, które dawniej weszły na tę drogę. Najważniejszym czynnikiem

jest tu bezwątpienia niejednakowa zdolność do pracy (Leistungsfähigkeit) robotnika, angielskiego np. i niemieckiego, ale w znacznej części zależy ona od krótszego dnia roboczego i od lepszego wynagrodzenia, w razie więc ograniczenia dnia w Niemczech, zdolność do pracy robotników niemieckich musiałaby się zwiększyć, czasowo zaś przynajmniej pozostałaby niższa skala zarobków, ułatwiająca konkurencyję przemysłowcom.

Przyznawszy jednak nawet pewną słusność uwagom p. K. R. Żywickiego, nie możemy bez zastrzeżeń zgodzić się na jego wnioski. „Przeprowadzenie projektu możliwym jest jedynie wtedy, kiedy przedsiębiorcom oddzielnych krajów zapewnionyby na stałe dawne rozmiary rynku, np. wydzielonoby Niemcom jakieś rynki środkowo-afrykańskie, Anglii chińskie i t. d., lub też kiedy przy dostawie na ten sam rynek oddzielne państwo miało prawo dostarczyć określony procent towarów... Jest to właśnie świadome regulowanie produkcji międzynarodowej”. My ze swej strony uważamy, że takie regulowanie obecnie jest zupełnie niemożliwym, żadne państwo bowiem na to się dobrowolnie nie zgodzi. Solidarność wystąpić może wówczas tylko, gdy szkodliwość konkurencyi stanie się oczywistą dla wszystkich współzawodników. Jakkolwiek nastąpić to z czasem musi, nie jest to jeszcze obecnie kwestyja dojrzała, poprzedzić ją winny znaczne zmiany w ustroju przemysłowym oddzielnych państw, które wykażą, w jakich gałęziach przemysłu kraj każdy ma naturalne warunki przewagi—oraz pewien stopień rozwoju instytucyj, normujących produkcję w państwach oddzielnych. Jeżeliby ustanowienie prawodawstwa międzynarodowego wymagało koniecznie jednoczesnego uregulowania produkcji, musielibyśmy uznać, że czas na prawodawstwo międzynarodowe jeszcze nie przyszedł, lub przynajmniej, że zakres jego musi być jeszcze nader ograniczony, innymi słowy, musielibyśmy przyznać, że robotnik niemiecki np. nie może jeszcze pracować tak krótko, jak angielski. Sądję jednak, że trudności praktyczne lepiej są znane i lepiej rozumiane przez ludzi fachowych, niż przez dziennikarzy i dlatego też, jeżeli widzę, że rząd niemiecki uważa za możliwe podjęcie kwestyi prawodawstwa międzynarodowego niezależnie od kwestyi regulowania produkcji, to przypuszczam, że trudności te mogą być na razie usunięte. Przypomnieć tu muszę, że w ostatnich czasach przejawia się coraz silniej dążność do popierania przemysłu państw oddzielnych zapomocą traktatów z innymi państwami i zapomocą wytworzenia większych organizmów ekonomicznych. Jako przykład przytoczyć możemy projekt wytworzenia z Anglii i jej kolonij jednej wielkiej federacyi polityczno-ekonomicznej, projekt uni wszechamerykańskiej i żywo rozbierany przed kilku laty projekt unii celnej między Austryją i Niemcami. Wszystkie te projekty są jeszcze dalekie od urzeczywistnienia, na przeszkodzie bowiem stają względy najrozmaitsze, zarówno ekonomiczne, jak i polityczne. Być może jednak, na tej drodze właśnie leży możliwość wprowadzenia prawodawstwa fabrycznego do krajów, mniej rozwiniętych pod względem ekonomicznym.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. P. K. R. Żywicki okazuje stale niechęć swą do wszystkich reform, których początek upatruje w klerykałno - społecznym prądzie reformatorskim. Trzyma się widocznie zasady, opiewającej „Timeo Danaos et dona ferentes”. Ja ze swej strony uważam, że właściwszą w danym razie jest zasada: „kto dał, to dał, byle coś dał”. Szkodliwem być może tylko przecenianie reform, upatrywanie w palijatywach środków radykalnych, nie więcej jednak nad to. Być może ztąd pochodzi niechęć p. K. R. Ż. dla klasy włościańskiej. Dziwnem dla mnie zjawiskiem jest wogóle udzielanie swej sympatyi tylko pewnej, najczęściej drobnej części użytecznych członków społeczeństwa, ludzi pracujących; p. K. R. Żywicki dochodzi jednak nawet do nienawiści chłopów. Charakterystyczne tego przykłady dał w ostatnich czasach. Oto jeden z nich. Niedawno Wilhelm II-gi zwrócił uwagę na los wiejskich robotników i postanowił ulżyć im za pomocą częściowego wytworzenia z nich czynszowników, osiadłych na ziemiach państwowych. Położenie jest jasne. Część ludności cierpi głód i nędzę,

¹⁾ Znaczenie związków przedsiębiorców, wpływ ich na walkę klasową z jednej, a na ustalenie zarobków z drugiej, wykazywaliśmy w artykule o kartelach w Ameryce i w art. „Z obcego świata” w Nr. 8 poprzednim.

²⁾ Patrz „Nowoczesny rozwój polityczny” w Nr. 8 Prawydy.

³⁾ Internationale Arbeitsgesetzgebung. Leipzig 1880, str. 36.

nie mogą znaleźć odpowiednio wynagradzanego zajęcia, tuż obok istnieją ziemie nie zajęte, więc się jej takowe daje. Nie potrzeba na to żadnej doktryny, dość prostego uczucia humanitarnego.

P. K. R. Żywickiemu rzecz się przedstawia inaczej. Niesympatyczne są dlań „cnoty chłopskie”, a, przeciwnie, zaszczyca uznaniem „zarazki społeczne” robotników, osobista antypatya jest dlań wystarczającym powodem do skazywania ludzi na głód i nędzę dla dobra „zarazków”. Fiat doctrina, perat mundus! Pod tym względem różni się znacznie. Nie oceniamy reform ze stanowiska pobudek ich inicjatorów, ale ze stanowiska ich wpływów na losy społeczeństwa i — nie sądymy, żeby czasowe chociażby poprawienie losu jakiegokolwiek części ludu pracującego mogło stać się przeskodą do urzeczywistnienia lepszej przyszłości dla całego społeczeństwa. Przyszłość ta urzeczywistniona zostanie przez następne pokolenia, będą one miały więcej wiedzy, więcej doświadczenia, lepiej widzieć będą drogi do urzeczywistnienia ideałów, niż my. Pierwszym obowiązkiem pokolenia dzisiejszego jest stworzenie warunków, umożliwiających zdrowie i rozwój cielesny i duchowy pokoleniom następnym. Ludzie, umiający tylko „przysiadzać fałdy nad nauką” mogą być innego zdania, ludzie jednak, pragnący przedewszystkiem przychylić się do szczęścia ludzkości, zawsze popierać będą wszelkie reformy, przynoszące ulgę cierpieniom obecnym, umożliwiające rozwój i samodzielność mas pracujących, i dla tych reform gotowi będą do ofiar i poświęceń. Nie będą zresztą oni w sprzeczności z nauką społeczną, nie kończy się ona bowiem na artykułach p. K. R. Żywickiego i nie dochodzi do wniosków, że lepsza przyszłość urzeczywistniona być może przez zgotowanie „przykrego losu” chłopom i przez przymusowe ich wywłaszczenie. Brak miejsca nie pozwala mi już, niestety, obszerniej pomówić o tej kwestyi, sądzę jednak, że pismo nasze do niej wróci jeszcze nieraz.

J. H. Siemieniecki.

P. S. Po napisaniu niniejszego artykułu wpadły mi do rąk zeszlenczone numery *Prawdy*, w których p. K. R. Żywicki drukował szereg artykułów pod ogólnym tytułem: „Złudzenia demokratyczne”. Znalazłem tam ustęp wręcz sprzeczny z głoszonemi obecnie przez p. K. R. Żywickiego poglądami. Przytaczam go dosłownie: „Jednakże pomimo tego antagonizmu klasowego, pomyślność najmitów, w obrębie kapitalizmu, ściśle się wiąże z zyskowym biegiem interesów przedsiębiorcy. Zarobek się zwiększa z rozrostem rynków i gorączkowością produkcji i, co za tem idzie, dochodami panów „pracodawców”. Dość przejrzyć dzieje Trades-Uniów, aby należycie rozumieć harmonię zobopólną, na podstawie sprzeczności interesów. W granicach chwili obecnej najmieć nie idzie o zniszczenie kapitalizmu, jak rzemieślnikowi, lecz, przeciwnie, o jego rozrost, byleby był spętany przez odpowiednie urządzenie związków robotniczych, prawodawstwa fabrycznego i inne, któreby powściągały samowolę i wyżywkę”. (Prawda 1889, u-r 7, str. 75). Sprzeczności nie dziwimy się zresztą. Między wypowiedzeniem jednego poglądu a drugiego upłynął cały rok, p. K. R. Żywicki zaś umie wypowiadać wręcz sprzeczne poglądy omal że z numeru na numer. „Złudzenia demokratyczne” są pod tym względem arcydziełem p. K. R. Żywickiego. Dla ilustracyi przytaczam dwa małe ustępy. W n-rze 7 *Prawdy* z r. z. czytamy na str. 76: „Ale wydłużenie wsi, wobec zwiększenia się produkcji rolnej, oznaczać może tylko jedno—bankructwo dawnych metod produkowania, w Anglii drobna posiadłość wiejska, wskutek współzawodnictwa Ameryki, stała się niemożliwą”. W n-rze 12 natomiast na str. 136 czytamy: „Może przeto nastąpić, że pod naciskiem współzawodnictwa z Ameryką, wielka własność ziemiska europejska rozpadnie się na drobne farmy i stosunki rolne przyjmą obrót właściwy najmniej rozwiniętym prowincjom międzynarodowego obszaru wymiennego. Anglija dostarcza najlepszego dowodu. Renta miejscami spadła tu o 50 z 75%, mnóstwo gruntów nie znajduje dzierżawców. I oto wśród landlordów zjawia się „humanitarna” miłość ku ludowi i gotowość zagłosowania taniego kredytu państwowego—dla wykupu pustkujących gruntów, naturalnie, o ile nie są rodowymi...”

BEZ OBLUDY.

Bezbarwność życia i karty.—Kłopot poważnych członków.—Jedyna rozrywka.—Jeszcze o potworach.

Myslałem dotąd, że nałogowa gra w karty jest objawem duchowej twórczości takich ludzi, dla których „dziesięć bez atut” stało się celem istnienia, bez której ani w zakresie myśli, ani w sferze uczuć sami „atutem” nigdy nie będą. Myslałem, że bezbarwność życia filistrów popycha ich do tego „rozognienia myśli” jeszcze nie istniejących, do rozpędzania mgławic, z których nigdy nie miało powstać słońce, a nad którymi unosi się tylko, zdobyty na innej służbie, księżyc łysiny. Tymczasem dziennikarstwo, czuwające nad tem, aby logika wypadków życiowych przewracała się regularnie do góry nogami w głowach czytelników—przekonało mnie, że byłem w błędzie. *Kuryjer Codzienny*, pracujący oddawna nad stworzeniem własnej socjologii i filozofii, przyszedł do wniosku, że właśnie „jedną z najgłośniejszych i widocznych przyczyn tej smutnej u nas choroby” (bezbarwności życia) „ogarniającej coraz szersze koła, jest... gra w karty”. Kilka kropek jest znakiem pisarskim, oznajmującym zwrot niespodziewany; w *Kuryjerach* jednak poprzedza on jakiś dowcip brukowy, albo też jest zapowiedzią absurdu—w jednym więc i w drugim wypadku, wbrew zasadom gramatyki, oznajmia zwrot całkiem spodziewany.

Nie dla tego spieszymy do zielonych stolików, że ideały naszego życia są marne, ale właśnie z powodu gry karcianej „ideały stają się coraz marniejszymi, ustępując miejsca epikureizmowi w najordynarniejszym znaczeniu tego słowa; po wypełnieniu bowiem obowiązków swego powołania traktowanego już coraz częściej jak najwyklejsze rzemiosło, myśli się tylko o...” czytelnik przypuszczać może, iż „o... Japonii albo o hipopotamie”; nie, w *Kuryjerach* kilka kropek zapowiada coś najbardziej spodziewanego więc „o... partyjce winta”.

Niewątpliwem jest, że nałóg wyległy z czczości życia, z pustki myślowej i uczuciowej sam z kolei pustką ową zapełnia, ale przyczyną jej nie jest. Nie ci znudzeni są bezbarwnością życia, których już pochłania nałóg szulerski, ale nałogowi temu oddają się tacy właśnie, którym ideały życiowe ani myśli rozjaśnić, ani serca rozgrzać nie mogły. Ofiarą epidemii karcianej jest naprzód cała, u nas olbrzymia, sfera ludzi i warstw przeżytych, społecznie i moralnie wykołojonych, nie mogących się do nowych wymagań bytu przystosować; dalej ulegają mu wszystkie mózgi anemiczne, dusze bezbarwne, marynowane w occie naszej próżniaczej prawomyślności; наконец, spostrzegamy tu utoczonych cudzą pracą nicponiów, którym pasorzytnictwo o tyle już mózgu tłuszczeniem zasłało, że zaledwie czerwone od czarnego, albo trefle od pików odróżnić potrafią. Ani w sferze ludzi czujących i myślących nie tylko o sobie, ani nawet wśród energicznych krzewicieli bawełnianych lub też filcowych nabytków cywilizacyi—dla dobra własnej kieszeni—wszędzie, słowem, gdzie jakiegokolwiek tętno życiowe uderza silniej—nie znajdzie socjolog kuryjerowy bezmyślnej rutyny szulera.

Rutynę taką, jakkolwiek wcale niebezmyślną, odkrył niedawno w łonie czcigodnych swych członków zarząd Resursy kupieckiej; niektórzy z „czcigodnych” ogrywali tam przez kilka wieczorów z rzędu pocziwego szlagona, który, przybyszy ze wsi, a widząc dokoła siebie bezbarwność życia, pragnął je umalować w resursie. Okazało się wszakże, iż zakład ten nie jest już „przyjemną szkołą dobrych obyczajów, wykwiutnych form życia, dowcipu i zabawy”, ale że w sposób mniej delikatny postąpił sobie ze zdobyty przez odważnego pachciarza gotówką. Życie szlachcica zabarwi się teraz zapewne na czarno. Jak sobie poradzi z tym faktem socjolog, dla którego gra w karty była dotąd przyczyną bezbarwności życia nie zaś jakiegokolwiek jego barwy?

Tym, którzy szukają pociechy w kartach, monotonna bezbarwność życia przerywają tylko tak zwane u nas „malwersacyje” i „nadużycia”, które się przytrafiają ciągle w sferach ludzi „zdawało się” najporządniejszych, najzacniejszych,

najlepiej umięjących wintować, wistować i licytować. Wyraz „malwersacyja”—jest cennym zabytkiem tych czasów, kiedy gra w karty nie pozbawiła nas była jeszcze „wykwintnych form” i kiedy towarzysztwa nasze były „przyjemną szkołą dobrych obyczajów”. Dziś właśnie malwersacyje te możnaby już było nazywać kradzieżą albo oszustwem. Bezbarwność życia, łącznie zapewne z paragrafem o dyfamacyi, sprawiają, iż wszystkie takie objawy niewykwiutne staramy się w pismach nowych malować barwami jak najdelikatniejszymi. Cwiczymy się przez to—z jednej strony—w obwijaniu prawdy w bawełnę, z drugiej zaś—w insynuacyjach. Oto np. wśród rozmaitych wiadomości o kolei *Wiedeńskiej* spostrzegam parę napomknień o malwersacyjach z kuponami na „pewnej” kolei. Stoją mi zaraz, a raczej ścielą się przed oczami: oszczędna kolej nadwislaska; pełna obywatelskich zasług—zwłaszcza w sprawie rozdawania synekur i obcinania pensyj pracownikom—kolej terespolska, oraz nie mająca, o ile wiem, żadnych zasług—droga petersbursko-warszawska. Tymczasem, okazuje się, że niepotrzebnie fatygowałem mą wyobraźnię: kolej „pewną” była nie inna jeno warszawsko-wiedeńska. W następnym numerze *Kuryjera* rozwiązuję się reporterowi język i dowiadujemy się już o trzech czwartych prawdy—z tem jednak nadmienieniem, że do wykrycia „malwersacyj” doprowadził przypadek. Nakoniec, w numerze trzecim czytamy, że nadużycia, popełniane od lat kilku, wykrył sam naczelnik wydziału, spostrzegłszy niezgodność w rachunku, czego, oczywiście, za przypadek uważaćbym nie chciał.

Nie chciałbym również, aby lekarzom naszym, którzy poczęli już wychodzić z choroby nietykalności, ktokolwiek przeszkodził powrócić do zupełnego zdrowia. Minęły, jak się zdaje, czasy, kiedy tutejsi synowie eskulapa stanowili jeden zwarty kahał nietykalny, którego gorsi przedstawiciele, mordując nieuctwem swem albo niedbalstwem ludzi, biorąc kubany za rozmaite fałszywa świadectwa, uprzedzając zabiegi takich Skublinskih, przedłużając choroby tak bogatych jak mniej zamożnych pacjentów, traktując *en canaille* pacjentów uboższych—wolałi o pomstę do nieba, jeżeli ktoś poważył się wejrzeć w ich sprawy i sprawki. Dzisiaj sami w czasopismach swych poczynają pisać dla siebie recepty etyczne: z początku stosowaną jest homeopatya, tylko początkowe litery nazwiska winowajców lub nawet pewne ich ogólnikowe epitety, zrozumiałe jedynie dla wtajemniczonych, ukazują się przed publicznością; nie tracmy wszakże nadziei, że będzie lepiej. Oto dr. Krajewski wnosi projekt, aby imiona i nazwiska takich kolegów drukowane były w pismach poczytnych, dla usunięcia zaś wszelkich złych następstw osobistej niechęci i zawiści—obowiązek takiego zdejmowania przyłbic wkłada nie na krytyków pojedynczych, ale na ciało zbiorowe, któreby miało władzę sądzenia i wydawania wyroków. D-rowi Krajewskiemu etyka lekarska nie oddziśnają musi być wdzięczna, przed kilku laty podniósł on ważną sprawę nadużyć w aptekach szpitalnych. Miejsce ordynatora otrzymane wkrótce po ukazaniu się pierwszych artykułów, oraz obowiązki i kłopoty związane z tem nowem stanowiskiem—nie pozwoliły d-rowi K. pożytecznej pracy swej dokończyć. Pragnąc należy, aby słusznego głosu oburzenia na nieuczciwość kolegów nie stłumiły dziś znowu jakieś kłopoty i zabiegi, nie dające mu możliwości doprowadzenia do końca sprawy rozpoczętej.

Maryjan Bolusz.

GŁOSY.

— Medycyna ludowa. Jednym z ważniejszych warunków korzystnej pracy lekarza na prowincyi być musi umiejętność zyskania zaufania otaczającego ogółu. Bez tego—chłop zwracać się będzie po poradę lekarską tylko w ostatniej chwili, tylko pod groźbą śmierci. Dlatego też, by nieść pomoc ludności wiejskiej musi przede-wszystkiem lekarz, osiadający na prowincyi, w osadzie lub miasteczku, starać się zdjąć z wiedzy swej osłonę tajemniczości i niedostępności, musi wlać w pacjentów swych przekonanie, że różni

się od zwykłego śmiertelnika *tylko* wiedzą i to taką, która mu daje możliwość poznania słabości i wskazania takiej rośliny, metalu, lub czynu, którego użycie słabość zmniejszy, a nawet usunie.

Na tem stanowisku stojąc, lekarz powinien, w myśl dzisiaj panujących poglądów leczniczych, szerzyć przekonania o ważności przestrzegania zalecanych przezeń środków higienicznych, dotyczących się diety, mieszkania, powietrza, odzienia, czystości ciała i t. d. Leków szukać powinien, o ile się da, w świecie roślinnym lub zwierzęcym (mleko gotowane, tłuszcz), otaczającym pacjenta. Z tem wiąże się kwestya drożyzny lekarstw, która odstrasza chłopca od lekarza, czyli kwestya leczenia się włościan wogóle.

Żeby jednak być zdolnym do oryjentowania się, szczególnie wśród flory krajowej, z której wiele środków leczniczych medycyna czerpie, należy ją znać. To też gorąco polecić możemy tym lekarzom (i studentom), którzy za pole swej działalności praktykę lekarską na prowincyi obrali—studya nad florą krajową. Należy wiedzieć, gdzie i kiedy jaka roślina rośnie, kiedy dana część rośliny, przez medycynę stosowana, zawiera właściwe składniki farmakologiczne, jak przyrządzić w domu, w formie prostej, lecz skutecznej, lekarstwo z danej rośliny i t. d.

Niemniej ważną rzecz stanowi znajomość tych środków leczniczych, których lud używa.

Po pierwsze, dlatego, że z pośród mnogości tych środków wybrać można takie, których skuteczność polega na właściwie zauważonym wpływie ich na organ cierpiący (wiele działa raczej na wyobrażenie, inne—szkodzą wprost). Takie działanie zbadać należy, rozsegregować co dobre, a co złe, i do praktyki leczniczej racjonalnej wprowadzić.

Po drugie, znajomość tych wierzeń ludowych, które danym roślinom skuteczność lekarstwa przypisują, jest niezbędną dla ludzi leczących chłopca.

Przez znajomość tę pozyskuje sobie lekarz zaufanie pacjenta, staje się mu bliższym. Bez niej—słucha o najpospolitszych dla włościanina, codziennych praktykach, jak o rzeczy obcej. Krytykuje nieraz, z konieczności poniekąd, środki, zastosowane przed jego przybyciem, nieznając ich, choć zastosowane leczenie mogło być skutecznym np. psychicznie.

Nie zdaje mi się, żeby to miało wzmacniać wiarę w lekarzy domorosłych, w baby i znachorów. Znajomość środków przez ostatnich używanych wytrąci im broń z ręki.

Wieleby się jeszcze powiedzieć dało o konieczności poznania i stosowania wierzeń ludowych w siłę leczniczą roślin i wogóle o t. zw. medycynie ludowej, na teraz poprzestać chcemy na poleceniu czytelnikom naszym prowincjonalnym kwestyjonaryjusza do numeru zeszłego dołączonego.

Przedewszystkiem należy zebrać fakty. Do tego sposobność ma każdy, obcujący z ludem. Po zebraniu i porównaniu materiału surowego, ogłosi się on drukiem. Z czasem zbiory się będą dopełniały, jednocześnie chętni przedsiębiorcy laboratoryjne i eksperymentalne sprawdzanie praktyk lekarskich ludowych.

Tą drogą szli badacze rosyjscy i zdobyli dla nauki nowe fakty, a dla lekarzy prowincjonalnych—siłę nową, zbliżającą ich z ludem, wśród którego zarobkować zapragnęli.

— **Lekcje śpiewu.** Towarzystwo muzyczne w lecie r. z. otworzyło u siebie bezpłatne lekcje śpiewu, w celu wytworzenia chórów. Pomysł świetny i chóry te mogły biedniejszym warstwowi ludności warszawskiej zastąpić tak rozpowszechnione zagranicą w każdej warstwie stowarzyszenia śpiewackie, wytworzyć nawet pewną łączność towarzyską. Zanosilo na to bardzo, ale tylko póki żył s. p. Władysław Wislicki, który z wielkiem poświęceniem zajmował się tą sprawą, i który zajęcie to przypłacił nawet śmiercią, gdyż będąc już bardzo chorym, zajmował się jeszcze lekcjami, skutkiem czego przeziębził się i umarł.

Po jego śmierci lekcje przez pewien czas zostały zawieszane, poczem kierunek ich objął p. Noskowski, który za najpilniejszą rzecz uważał ciągłe ganieńie przed uczniami swego poprzed-

nika. Obok tego p. Noskowski tak niegrzecznie obchodził się z uczniami i uczennicami, że stosunek serdeczny, jaki się zawiązał między niemi a nauczycielem, za życia Wislickiego, zniknął. Nareszcie i p. Noskowski zachorował, a wówczas lekcjami zajął się p. Hertz, który widocznie nie ma czasu, gdyż zajęcie swe traktuje, aby zbyć: to na lekcje nie przyjdzie, to podczas lekcji przyjmuje różnych interesantów i traci czas i t. p.

Warto, aby towarzystwo znowu seryje zajęło się tą sprawą i jeśli p. Hertz nie może należycie prowadzić lekcji, powierzycie ich kierunek komu innemu, gdyż szkoda było, gdyby dobry początek do niczego nie doprowadził.

— **Nieuctwo.** Korespondent warszawski *Kraju*, mówiąc o głęboko sięgającej demoralizacji w obyczajach ludności naszego miasta, jako przykład przytacza takie cyfry: „w Berlinie na 1000 urodzeń przypada zaledwie 15 nieprawych, w Warszawie na 300 jest ich 50”. Nie wiemy, czy cyfra, dotycząca Warszawy, jest dokładną, w każdym razie podany wyżej procent dzieci nieprawych—16.6%—jest stanowczo mniejszy, aniżeli w każdym prawie z większych miast niemieckich. Wogóle w Niemczech wypada dzieci nieprawych 98 na 1000, w niektórych zaś miastach stosunek ten nawet wynosi 500 (Monachium) a w Berlinie około 154.

Zapewne cyfra, przytoczona w *Kraju* jest tak świeża jak inne dane, dotyczące śmiertelności podrzutek, z r. 1817, 1811 a nawet 1791 i 1797!

— **Fundusz podrzutek.** Z powodu podania w *Kuryerze warszawskim* cyfry funduszu, jakimi rozporządza administracja domu podrzutek (118,900) p. K. Puchalski naczelnik Rady miejskiej dobroczynności stara się wykazać, że z pozoru tylko suma ta jest poważną, wydatki bowiem wynoszą znacznie więcej. Istotnie, w budżecie wydatków znajdujemy cyfrę 148,961 rs. Ale niektóre pozycje tego budżetu przedstawiają się dosyć dziwnie. Tak np. na żywność dla dzieci i 80 mamek przeznaczono rocznie 21,060 rs. Jest to stanowczo za duzo bo na jedną mamkę przypada 250 rs. Żywności dla 166 dzieci (tyle bywa średnio) nie liczymy, bo niemowlęta karmione są a przynajmniej powinny być mlekiem mamek lub krów, których kilka dom podrzutek utrzymuje, na co wydaje 428 rs. Przypuśćmy zresztą, że na żywność, t. j. chyba na kaszke dla każdego dziecka, wychodzi 10 rs. rocznie, uczyni to razem 1660 rs., na utrzymanie mamek więc wypadnie 19,400 rs. I ta suma jest zawysoka, bo mamki w domu podrzutek otrzymują pożywienie bardzo proste, które nie kosztuje chyba 242½ rs. rocznie. Znamy pewien zakład w Warszawie, w którym 87 pracowników otrzymuje kawę, obiad z trzech potraw i kolacyję a kosztuje to wszystko 28 kop. dziennie, t. j. niewiele więcej jak 100 rs. rocznie. Inne cyfry budżetu wydatków budzą również pewne wątpliwości, tak np. na odzież, obuwie i posciel idzie rocznie 6,820 rs., no, ale to być może, jeżeli mamki stroją się a niemowlęta noszą włóczkowe trzewiczki. Pomimo jednak takiego sutego utrzymania, widocznie biedne dzieci chorują często, bo na lekarstwa wydano w ciągu roku aż 2,820 rs., a przecie szpital ma lekarstwa po zniżonej cenie.

— **Praca kobiet.** Dużo się u nas rozprawia o pracy kobiet, na wystawach widzimy najrozmaitsze wyroby kobiece, nikt jednak nie wie o tem, że często te wyroby są dziełem mężczyzn. Od niejakiego czasu pojawiły się w Warszawie przedsiębiorczynie ze sfer nawet zamożniejszych, które podejmują się różnych prac, np. oprawiania książek dla czytelnicy, poczem oddają tę robotę rzemieślnikowi-mężczyźnie, a następnie podają za swoją i zarabiają na tem wcale nieźle. Proceder taki jest uprawniony, podobnie jak i proceder każdego przedsiębiorcy-mężczyzny, nie mamy więc zamiaru występować przeciwko temu, chcemy natomiast zwrócić uwagę rozprawiających o pracy „pań” naszych, iż w ocenie działalności ich na polu przemysłowym trzeba być bardzo ostrożnym, i za jakiś wyrób nie chwalić kobiety, gdy pochwała należy się np. mężczyźnie. Podobnież w bazarze pracy kobiet trafiają się wyroby mężczyzn, przedstawione przez

różne panie za swoje własne. Mamy tu na myśli różne wyroby galanteryjne. Nawet więc i w bazarze nie można być pewnym, że mamy przed sobą wyroby rzeczywiście kobiece.

— **Wódka na zachętę.** Właścicielka pewnej szwalni trykotów przy ul. Marszałkowskiej p. M., aby powiększyć wydajność pracy swych robotnic, użyla następującego sposobu. Robotnice, pracując od godziny 9 rano do godz. 7 wieczorem, szły codziennie po trzy trykoty. Otóż pewnego dnia właścicielka, ogłasza, że jeśli skończą owe trzy trykoty wcześniej, to będą mogły wcześniej pójść do domu, a obok tego otrzymają sowity poczęstunek. Robotnice pośpieszyły się i ukończyły pracę na godzinę piątą po południu. Wtedy właścicielka poczęstowała je wódką i wędlinami, poczem grzecznie je poprosiła, aby zechciały popracować jeszcze trochę, gdyż jest sporo roboty. Pracownicy zgodziły się i pozostały do godz. 7. Na drugi dzień oznajmiono im, że odtąd obowiązane są stale codziennie wykończyć po cztery trykoty, i chcąc-nie-chcąc musiały się na to zgodzić. Rozumie się, iż wykończenie czterech trykotów wciągu 10 godzin jest rzeczą możliwą, ale dzieje się to z krzywdą pracownic, zmuszonych do intensywniejszej pracy. Taż sama pani ciągnie jeszcze inną korzyść ze swych pracownic, gdyż sprzedaje im puder własnego wyrobu, choć sprzedaż tego specyfiku została zakazana, jako szkodliwego dla zdrowia.

Z KRAJU.

Napad na lekarza.—W kwestyi felczerkiej. — Polemika aptekarsko-lekarska i smutny jej koniec. — Propozycja.

Niedawno dokonany napad na d-ra Sochackiego z Ireny przypomniiał analogiczne fakty, jak znęcanie się nad doktorami Szaniawskim w Dubience i Kamińskim w Ożarowie przez felczerów-żydów. O tej ostatniej sprawie wspominaliśmy tylko pobieżnie, a warto poznać się z nią bliżej. Właśnie z powodu tego wypadku dr. Szymanowski pomieścił w *Gazecie radomskiej* artykuł, w którym pisze dużo o stosunku lekarzy do felczerów. Dr. Szymanowski przez czas jakiś mieszkał w Ożarowie i, jak powiada, walczył energicznie z felczerami, zwłaszcza zaś z jednym ze sprawców zamachu, Izraelem Wettsteinem. Ten ostatni na każdym kroku szkodził lekarzowi, dyskredytując jego powagę a nawet otoczył opieką drugiego medyka, z którym poprzednio zacięciem walczył. Przy pierwszej sposobności dr. Szymanowski opuścił Ożarów, nie mogąc znieść dłużej takich stosunków, a na miejsce jego przybył dr. Kamiński. Walka konkurencyjna między lekarzem a felczerem, przynajmiej się otwarcie, że „potrzebuje zarobić najmniej 30 rubli tygodniowo”, zawrzała znowu. Ostatecznym jej epizodem było sprowadzenie d-ra Kamińskiego do mieszkania drugiego felczera, Heinkopera, gdzie napastnicy (Heinkoper i Wettstein) powalili lekarza na ziemię i przemocą wleli mu do gardła jakiegoś płynu, który spowodował krótkotrwały obłęd.

Biorąc za punkt wyjścia powyżej opisaną sprawę, dr. Szymanowski szeroko rozpisuje się o szkodliwej działalności felczerów na prowincyi. Są to zazwyczaj ludzie, posiadający zaledwie elementarne wykształcenie, a czasem nawet nie umiejący dobrze czytać i pisać, którzy po kilku latach „nauki” u również ciemnego pryncypała i po ukończeniu szkoły albo rocznej praktyce w szpitalu, otrzymują odpowiednią kwalifikacyję. Prawo obowiązuje określa dokładnie czynności felczerów, zabraniając im leczyć samodzielnie a nawet stawiać baniek i pijawek bez polecenia lekarza. Na żądanie i za przepisem felczera nie wolno wydawać z aptek żadnych lekarstw. Ale prawo istnieje tylko na papierze, w praktyce zaś dzieje się inaczej, felczerzy bowiem, zwłaszcza po wsiach i miasteczkach, zajmują się leczeniem chorych, konkurując z lekarzami, często bardzo pomyślnie dla siebie.

Dla usunięcia istniejącego zła dr. Szymanowski proponuje środek bardzo radykalny, mianowicie zupełne usunięcie felczerów i zastąpienie ich przez obsługę lekarską. Jeżeli zaś to oka-

że się niemożliwym, żąda przynajmniej ściślejszej kontroli policyjnej nad działalnością felczerów i solidarnego przeciwdziałania im ze strony lekarzy i aptekarzy. Przypuszczając, że znaczna część winy spada na samych lekarzy, autor radzi swym kolegom, ażeby potępiali z felczerami surowo, „ukrócali ich „alszywe zachcianki“, w razie najdrobniejszego przewinienia pociągali do odpowiedzialności i nie pozwalali „na przekraczającą właściwe granice zbytnią poufałość.“

Zupełne usunięcie felczerów i zastąpienie ich przez posługaczy nie wydaje się mi właściwym. Któż zareczy, że ci posługacze, jeszcze ciemniejsi i mniej wirawni od felczerów, nie podejmą ich roli. Względ ten, że nie będą mieli praw żadnych, nū nie znaczy, bo przecież felczerzy nie stosują się wcale do wyraźnych przepisów i działają jawnie wbrew prawu. Dla czegoż więc posługacze mają być sumienniejsi i lepsi. Powtóre, zakres legalnych czynności felczerskich dosyć jest obszerny i może nawet poniekąd być rozszerzony. Nie każdy lekarz ma czas, nie każdy zechce podjąć się stawiania baniek lub pijawek, robienia opatrunków, rwania zębów i t. d., zwłaszcza jeżeli z czynności te nie może spodziewać się od chorego odpowiedniego wynagrodzenia. Na wsi lub w miasteczku, gdzie nie ma pod ręką lekarza, felczer pilnować może spełniania przez chorych jego zaleceń. Wreszcie w wypadkach nagłych lub mniej ważnych felczer pomoże nieraz. Przecie sami lekarze piszą dzieła o leczeniu domowem i w kraju naszym dotąd jeszcze leczenie to okazuje się nieraz bardzo pożytecznem. Juszcż wykwalifikowany felczer lepiej potrafi poradzić, aniżeli osoba prywatna, chociażby nawet inteligentna, która nie posiada żadnej praktyki. Idzie o to tylko, żeby felczer znał się na rzeczy i pilnował ściśle granic swej kompetencji. Prawda, że dzisiejsi felczerzy—to zwykle nieuki i ludzie, nie przedstawiający żadnej gwarancji moralnej. Czy jednak dlatego zupełnie ich usunąć należy i zastąpić przez zwyczajnych posługaczy? Sądząc, że wypada raczej pomyśleć o podniesieniu felczerów do stanowiska pomocników lekarskich, a więc wymagać od nich koniecznie ukończenia szkoły, samą zaś szkołę zreformować gruntownie i podnieść poziom kwalifikacji, wymaganych od uczniów. Do szkoły wstępowałyby mogli młodzieńcy, którzy ukończyli przynajmniej 4 klasy gimnazjum, praktykę zaś uprzednią zupełnie znieść należy i zastąpić ją praktyką roczną w szpitalu większym, po ukończeniu szkoły. Dzisiaj felczer jest jednocześnie cyrulikiem, co bezwarunkowo znieść należy, golenie bowiem bród i strzyżenie włosów nie wymagają żadnej kwalifikacji i nie ma powodu łączyć ich z felczerstwem. Najlepiej byłoby wreszcie zapewnić felczerom miejskim i gminnym stałe pensye, zabraniając im pobierania opłaty od chorych, jak to zaprowadziły niektóre ziemstwa w Rosyi. Być może iż z czasem, kiedy pomoc lekarska stanie się bardziej dostępną dla ludności, kiedy liczba lekarzy podwoi się lub potroi, instytucja felczerów stanie się zbyteczną, dzisiaj jednak są oni jeszcze niezbędni a mogą być bardzo użytecznymi, zwłaszcza na wsi, jeżeli do fachu tego wstępować zaczęli ludzie średnio wykształceni i porządni. Takich zaś nie zabraknie, bo o lada kawałek chleba coraz to trudniej, jeżeli zaś teraz nie kwapią się do felczerstwa, to dlatego, że ich odstrasza dzisiejsi felczerzy-cyrułicy.

Zdaniem lekarzy o felczerach nie zawsze dozwierać można, mimowoli bowiem mają wpływ na nich względy konkurencyjne, zresztą specjaliści wyższej kategorii zawsze z pewną pogardą i uprzedzeniem mówią o kategorii niższej pracowników tego samego fachu. W kwestyi tej nie interes lekarzy ale interes publiczności trzeba mieć przedewszystkiem na widoku, wątpliwem zaś jest: czy dla publiczności, czy dla ubogiej ludności miejskiej i wiejskiej zniszczenie felczerów byłoby pożądanem i pożytecznem.

Dla chłopów pożytek z porady lekarskiej bardzo często jest problematycznym, szczególnie w chorobach wewnętrznych, przewlekłych lub epidemicznych. Tutaj bowiem samo lekarstwo nie wiele pomoże bez zmiany warunków zewnętrznych bez zachowania diety, bez posiłnego pożywienia i t. p. Najskuteczniej poradzić lekarz może tylko w wypadkach chirurgicznych, t. j.

w takich, w których dobry felczer nieraz zastąpić go potrafi.

Z powodu wypadku z doktorem Kamińskim, wywiązała się również polemika pomiędzy lekarzami i aptekarzami, która z pistu warszawskiej przeniosła się obecnie na szpalty *Gazety lubelskiej*, gdzie obie strony wojują zajadłe. Lekarze oskarżają farmaceutów, że dla zysku zajmują się sammi leczeniem lub protegują felczerów, ponieważ ci ostatni zapisują chorym w znacznej ilości różne specyfiki. W zaciekłości polemicznej zanadto uogólniono tu fakty, przypisując wszystkim aptekarzom wrogie względem lekarzy zamiary. Tymczasem okazuje się, że np. w Ożarowie aptekarz działał właśnie solidarnie z lekarzem przeciw felczerom. Aptekarze na zarzut protegowania felczerów odpowiadają, że postępowanie takie nie miałyby racyi, felczerzy bowiem sami zwykle przyrządzają lekarstwa, chcąc mieć zysk większy, a więc szkodzą tylko aptekom. Nie ulega jednak wątpliwości, że na prowincyi aptekarze kłócają się z lekarzami i że w niektórych wypadkach kolizyja jest prawie nieuniknioną. Lekarz sumienny, mając do czynienia z ludnością ubogą, zapisuje środki proste i jaknajtańsze, często zaś, dla zmniejszenia kosztów, sam przyrządza lekarstwa, biorąc z apteki potrzebne materiały. Rozumie się, dla aptekarza nie jest to pożądanem. Kilku młodych lekarzy, którzy świeżo osiedli na prowincyi, skarżyło się nam na zajęcia z aptekarzami z tego właśnie powodu. Co prawda, zdarzają się również lekarze bardziej zgodni, którzy wchodzą układy z aptekarzami, w zamian za reklamę zobowiązując się do zapisania recept na określoną sumę. Układy takie są poprostu obdzieraniem ubogiej ludności i zasługują na surowe potępienie, na co chyba zgodzi się nawet każdy uczciwy aptekarz. Polemika aptekarsko-lekarska w *Gazecie lubelskiej* zakończyła się dosyć smutnie dla jednego z uczestników, a haniebnie dla drugiego. Aptekarze pocieszyć się mogą, chociażby bowiem nie mieli racyi wcale, walczyli przynajmniej honorowo, tymczasem przedstawiciel stanu lekarskiego postąpił bardzo nieładnie. Sprawa przedstawia się tak:

W polemice między innymi wziął udział p. A. Kopaszyna-Sikorski i mówiąc o upadku praktyki lekarskiej na prowincyi wyraził zdanie, że lekarze sami są temu winni. „Jak traktowanym jest chłop przez niektóre powagi medyczne i szpitalne, dowodzi chociażby zdanie, które pomiędzy ludem pewnego powiatowego miasteczka i jego okolic przeszło w przysłowie: „daj dwa złote, pokaż język, masz receptę, idź do apteki“. Cała porada trwa minutę, o zbadaniu i auskultacyi chorego nie może być nawet mowy, gdyż powaga szpitalna dla marnych 30 kopiejek nie może sobie walać ręk o zabrukanego chłopca. Cóż więc dziwnego, że po takiej konsultacyi chłop wprost od doktora idzie do felczera... „Wszak znanym jest dobrze“, mówi dalej p. Sikorski, „nie tylko mnie lecz wielu osobom pewien szpital powiatowy, gdzie chorzy po dwa dni leżą bez lekarstw przy poważnych chorobach, jak to miało miejsce przed kilku dniami. Znanym jest także fakt, że gdy do tegoż szpitala przywieziono chorego z oderwaną w młocarni ręką, doktor, powiadomiony o tem, nie chciał się pofatygować do szpitala, twierdząc, że był już rano na wycieczce, a chodź dwa razy na dzień za niecałego rubla dziennej pensyi—to się nie opłaca. Chory więc pod okładami zimnymi, zastosowanymi przez felczera, leżał do drugiego rana i czekał cierpliwie przybycia doktora, rozmyślając zapewne, dlaczego lekarze szpitalni mają tak małą pensyję. Gdzież tu jest już nie ludzkość, lecz wprost uczciwe spełnianie obowiązków przez społeczeństwo obywateli.“

Widocznie opisane powyższe fakty zgodne są z prawdą, kiedy obecnie przyznał się do nich jeden z 4 czy 5 lekarzy, praktykujących w Krasnymstawie dr. Wincenty Orłowski, stwierdzając raz jeszcze słusność przysłówia o stole i nożycach. P. Orłowski wystąpił ze sprostowaniem zarzutów, ale obrona tego rodzaju dowodzi tylko słusności oskarżenia.

Co do pierwszego faktu bowiem pan doktor dowodzi, że frazes: „daj dwa złote, pokaż język, masz receptę, idź do apteki“, jest poprostu konceptem do *Kurjera świętecznego*. Ale jeżeli to koncept, dlaczegoż p. Orłowski bierze go do siebie, kiedy p. Sikorski mówi tylko o „pewnym

mieście“ i „pewnym lekarzu“. Na zarzut, że chorzy pozostawali przez dwa dni bez lekarstw, odpowiada: „trudno jest (?) aby kierownik szpitala zwracał się o radę do pomocnika aptekarskiego, co ma w danym razie zaordynować chorym. Tego nawet żadna Farmakopea nie przewiduje“. Wreszcie z powodu oskarżenia o nie-ludzkie pozostawienie rannego przez noc całą bez pomocy, opowiada, że „o 12 w nocy, przy świetle świec dokonał na chorym operacyi odjęcia biodra“. Przesłuchanie—ale to był inny chory, nie ten, któremu młocarnia urwała rękę.

Dla stwierdzenia zaś kłamliwości zarzutów p. Sikorskiego dodaje, że ten „na własne“ jego, pana doktora, żądanie usunięty został z apteki. Dobry dowód!

Do charakterystyki doktora Orłowskiego dodać należy, że nietylko poprawnie, ale nawet gramatycznie pisać nie umie. Widocznie musi to być „rutynowany“ lekarz. Pomimo jednak pozorów nieczułości ma on, jak się zdaje, niezłe serce, bo chociaż grozi, że zaskarży p. Sikorskiego do sądu, daje jednak winowajcy możność usprawiedliwienia się, gdyż z prawdziwie rzadką w naszych czasach naiwnością sam dostarcza przeciw sobie materiału dowodowego. A ludzie naiwni—są to zwykle dobrzy ludzie...

Od znajomego, który przez czas pewien bawił w Radomiu, otrzymałem sporo ciekawych notatek o stosunkach miejscowych, zwłaszcza o rozmaitych „sztuczkach“ z teatrami amatorskimi. Dla braku miejsca muszę odłożyć sprawę do przyszłej kroniki, tutaj zaś tylko nadmienię, że reżyseryja, chciałem powiedzieć... redakcyja *Gazety radomskiej* urządzić zamierza przedstawienie teatralne, z którego dochód przeznaczony będzie na budowę nowego kościoła. Co prawda, niebardzo to pasuje, no, ale w braku innych dochodów, mniej „grzesznych“ i ten się przyda. Co się tyczy kościoła, proszono nas o zamieszczenie propozycyi, żeby szanowny proboszcz radomski, który tak żarliwie domaga się wznie-sienia nowej świątyni, zechciał poprzeć u władzy świeckiej i duchownej sprawę utworzenia drugiej parafii katolickiej w Radomiu. Parafianie bardzo życzą sobie tego, spodziewać się więc można, że kapłan, tak gorliwy o zbawienie swych owieczek, ułatwi im odbywanie obrzędów religijnych, pomimo że otwarcie drugiej parafii uszczupli zapewne jego dochody.

J. Nieborski.

Korespondencyje „Głosu“.

Z Olkuskiego.

Nasz ubogi zakątek, olkuskie, jakby nie istniał zupełnie dla szerszego ogółu, jakby wykluczony był z tegoczesnej mapy naszego społeczeństwa. Bardzo rzadko zdarzy się usłyszeć w pismach jaką wzmiankę, dotyczącą tego zakątka, który różni się tem chyba od innych okolic kraju, że, będąc pod względem urodzajności gleby po macoszemu uposażonym przez naturę, posiada mniej energii i sił żywotnych do obrony od napaści wrogów wewnętrznych, tamujących rozwój, że się tak wyrażę, cywilizacyjno-ekonomiczny. Mówię tu naturalnie o chłopach. Największymi wrogami chłopca, jego dobrobytu i rozwoju na drodze do „emancypacyi moralnej i społecznej“ są: żydzi, potem już są pokatni doradcy, często felczerzy, a nawet i aptekarze. Eksploatują oni ciemnotę chłopca dla osobistych korzyści, nie przebiegając w środkach.

W następnych korespondencyjach postaram się twierdzenie swoje poprzeć opisaniami zaobserwowanych przezemnie faktów odnośnie do każdego z tych wrogów, dziś zaś ograniczę się na opowiedzeniu paru faktów z działalności żydów.

Żyda, historycznego *arendarza* z pejsami i jarmułką wioski nasze nie posiadają. Znikł on z horyzontu wraz z upadkiem własności ziemskiej, na miejsce jego zaś wyrosła falanga t. zw. skórczarzy, szmaciarzy i t. p. To są dopiero awangardy, rdzeń zaś wpływu żydowskiego stanowią szynkarze, handlarze zbożem i w ogóle żydzi, posiadający większy kapitał obrotowy, a tem samem większą siłę do panowania nad chłopem. Stałem miejscem zamieszkania owych działaczy są, jak wszędzie chyba, brudne, cuchnące miściny; areną działalności—oko-

liczne wioski, wioszczyzny i majdany, a sposobami do życia — handel, lichwa, przemyślnictwo i różnorodne oszustwa i spekulacje. Latem wraz z skowronkami, a zimą z ostatniemi pianiem koguta widzimy jakies postacie, rozsnuwające się w rozmaitych kierunkach po za miasteczkiem. To Szmule, Icki, Moszki... głodni, wynędzniali, w poszarpanej, zbrudzonej, napół zgnilej odzieży, uzbrojeni w kije sękaty, z workiem przewieszonym przez plecy, lub koszem na ręku, dążą do okolicznych wiossek „na zarobek.” Nie zważając na niepogodę, na zimno, na niegościnne przyjęcie wioskowych brytanów; chodzą od chaty do chaty przez cały dzień, nie jedząc nic prawie i nie odpoczywając, a gdy zmierzch pocznie zapadać wracają do swego mrowiska, dzwigając w workach co się dało wyłudzić za tanie pieniądze od chłopa: drób, jaja, nabiał, warzywa, stare żelazto, pierze, skórki, szmaty i t. p. Niejednokrotnie zdarzyło mi się oglądać zawartość takiego worka, który robi wrażenie małego śmietnika.

Ci, to są biedacy, obarczeni liczną familiją, która zjada całodzienny swój i głowy rodziny zarobek. Oszukują oni chłopa, ale w małych bardzo rozmiarach, gdyż żyją z niego z dnia na dzień, chodzi im więc o ciągłe utrzymywanie przyjaznych stosunków. Daleko szkodliwsi są tacy, co wloką się na wieś wózkami, na ślepej szkapie, we dwóch zwykle. Ci kupują zboże, inventarjzują i pożyczają pieniądze najpierw bez rewesu, na termin, w którym wiedzą, że chłop nie będzie mógł oddać. (Znają oni bardzo dobrze stosunki swoich ofiar, ich stan majątkowy, ich czułą stronę...) W parę dni po terminie zjawiają się do chłopa po pieniądze i po długich pertraktacjach, zakończonych zwykle wynurzeniem chłopa swej serdeczności, („tylkie la wós Wojczechu”) odjeżdżają bez pieniędzy ze sztuką drobiu, miarą zboża albo workiem kartofli, wyłudzonych „za grzeczność i za drogę—lo dzieci.”

Ceremonija taka powtarza się coraz częściej, poczem zwykle przystępują do spisania rewesu. Akt ten rozpoczyna się zwykłym omawianiem: „Myśmy śmertelni, Wojczechu! Jo jestem bidny, familijny, broń Boże nieszczęścia — moje sirotów zostaną bez nicego... Wi psiecie nie chcecie tego... Podpiszcie ten kwitek, aby niech znaczek będzie i t. d.” Chłop zwleka jeszcze w nadziei, że mu wpadnie grosz jaki, co mu się rzadko zdarza, w końcu zmuszony jest podpisać sola weksel, z którym do sądu występują wtedy, gdy już chłop jest nadrujnowany. Chłop taki, co raz pożyczył od żyda, pożyczka coraz więcej od jednego, drugiego... dziesiątego.

Lwią część dochodu z gospodarstwa zabierają żydowie już to w naturze, już w wydawaniu osobnych weksli, a na pokrycie długu nic nie zostaje.

Wtedy dobroczyńcy Wojciecha, porozumiewszy się ze sobą, występują do sądu z akcjami jednocześnie, przedstawiając częstokroć weksle na większą sumę, aniżeli była wypożyczona. — Chłop się zaklina, przysięga, że nie brał tyle, że nie winien... Radzi się pana „adukata” który zostaje w porozumieniu z żydami. Na nic to wszakże wszystko się zdało: sąd przysądza, komornik egzekwuje i...

Czuając, że mu się grunt z pod nóg usuwa, że nie ma srodków do wybrnięcia z kłopotów, chłop obojętnie na wszystko, a wtedy jak grzyby po deszczu poczynają się zjawiać w sądzie weksle z fałszowanymi podpisami.

gorzej jeszcze, jeżeli przeciętny Wojciech ma skłonność do wódki, a umie się podpisać. Szynkarz rozpoczyna wtedy swoją działalność i do jakiego stopnia dochodzi nieraz wyzysk tych działaczy, niech powiedzą autentyczne fakta.

Przed paru laty jednym z najzamożniejszych gospodarzy w osadzie Żarnowcu był niejaki Kieronki. Majątek nieruchomy odziedziczony po ojcu przedstawiał wartość conajmniej 10,000 rubli. Zdawało się, że przy ograniczonych potrzebach właściciela, nieróżniąc się pomimo znacznego majątku zupełnie sposobem życia od swych współmieszkańców, pomeniony majątek zabezpieczony jest zupełnie od ruiny. Tymczasem przeciwnie. Po trzech latach gospodarki K. ogłoszono za bankruta. Nieszczęście całe wynikło z tego, że K., nie umiejąc czytać posiadał umiejętność podpisania swego nazwiska, a prócz tej umiejętności—miał skłonność do wódki. Co parę tygodni więc naglony przez szynkarzy, u

których pijał na „kryde”, o uregulowanie rachunków, podpisywał niby kwitki, z których później wyrosła suma kilka tysięcy rubli „przepitych” w ciągu lat trzech przez jedną osobę, niewydalającą się po za granice swego miasteczka. W wielu tych kwitkach *kilkunastorublowych* zręcznie dodany był w uprzednio zastawionym miejscu wyraz *sto*, wiele kwitków było już raz zapłaconych i tylko przez nieogledność nieodebranych. Jeden z takich kwitków na 100 rubli kupiony był przez żyda szwindlarza za rubli 60 wyraźnie sześćdziesiąt. Nabywca tego rewesu zrobił inny jeszcze geszeft z „gojem”, wieśniakiem z Chliny. Ugościł go on u siebie przez dwa dni z rzędu, chcąc par force wymusić podpis na sola-wekslu, a gdy to nie pomagało, zamknął go w piwnicy i trzymał dotąd, póki zaniepokojona rodzina nie poczęła robić poszukiwań, jednakże wypuszczony na wolność wieśniak, pomimo namowy, żadnych kroków sądowych czynić nie chciał, a w parę miesięcy później z wyroku sądowego wystawiono na licytację osadę za dług, właśnie jak się okazało z owego wymuszonego rewesu. Jakich srodków użył pan kupiec do wymuszenia podobnego dowodu—nie wiadomo.

To są szwindle grubsze, a ile to codziennie robi się takich małych „niewinnych” przy zmianie pieniędzy, wydawaniu reszty, przy wprowadzeniu nowych biletów kredytowych, przy miarze i wadze...

Takie to się u nas rzeczy dzieją, pocieszamy się w smutku swym tem, że i gdzieindziej nie lepiej.

Wy, moi panowie, coście wzięli pod opiekę chłopa, opisujecie tylko jego rany i od czasu do czasu dajecie receptę, częstokroć nieczą, lecz cóż sama recepta pomoże?!... Wołajcie na pomoc wszystkim!... kto czem może i jak może niech się przyczynia do wydarca chłopa z rąk żydowskich. Sędzia, ksiądz, lekarz, nauczyciel... gdyby chcieli, wieleby na tem polu zdziałać mogli, trzeba więc ich napędzać do tego, zachęcać, podawać rady i wskazówki.

Chochlik.

Z Cieszyna.

I.

Panie Redaktor! Oni myśleć mogą, że ja o nich zapomniałem, albo żech umrzył. Dla braku czasu jach nie pisał! Gnój wozilich, strumy wedle potoka ścinałech...

Przepraszam. Ktos przeczytawszy powyższe moje tłumaczenie, może wywnioskować, że my w Cieszyńskiem mamy bardzo zepsute narzecze. Tak nie jest. Powyższe dziwolągi językowe są sztucznie dobranymi prowincjonalizmami; mowa zaś cieszyńska jest piękną, bardzo zblizoną do języka książkowego. To, co bają niektórzy o gwarze szląckiej, o germanizmach szląckich, odnosić się może do niektórych zakątków Szlązka Pruskiego, gdzie ludność uległa zniemczeniu w wysokim stopniu. Tych panów bazarzy poprosiłbym, aby przyjechali na targ do Cieszyna; ulegliby oni złudzeniu, że są za Żelazną Bramą, do tego stopnia mowa ludności tutejszej przypomina Warszawę! Szlązacy cieszyńscy mówią piękniej niż mazury, niż podlasiacy i litwini.

O Szlązku austrijackim wogóle panują błędne wyobrażenia. Warszawiacy myślą, że w Cieszyńskiem mieszka ludność zniemczoną; zaś galicyjanie są pewni, że cały Szląsk jest zamieszkały przez rdzennych Niemców. Zapewne na tej zasadzie hr. Stadnicki, przed kilku laty, powstał w Kole polskiem w Wiedniu i krzyknął: „Ho! panowie! cóż to będziemy Szląsk polonizować?”

Dla wyjaśnienia rzeczowistego stanu rzeczy przytaczam, co następuje:

Szląk austriacki składa się z dwóch części: zachodniej—opawskiej, i wschodniej—cieszyńskiej. Są one oddzielone od siebie przez klin ziemi morawskiej. Część opawska jest przeważnie czeską (140,000 Czechów, 111,000 Niemców i Żydów, 44,000 Polaków). Część cieszyńska (inaczej Księstwo Cieszyńskie) jest prowincją prawie czysto polską (172,000 Polaków, 73,000 Czechów, 25,000 Niemców i Żydów).

Widzimy więc, że w Księstwie Cieszyńskiem żywił słowiański liczy 245,000, żywił zaś obcy tylko 25,000, a pomimo to ów żywił obcy ma przewagę; język niemiecki panuje w szkole, w sądzie i w urzędzie. Narodowość polska na

każdym kroku jest uciskana. To, co się dzieje w Prusiech, w Poznańskiem, to samo widzimy tylko w mniejszych rozmiarach na Szlązku austriackim.

Rodzi się pytanie: dla zego Szląsk jest prowincją Austrii, najbardziej pod względem politycznym upodlegzoną?

Wpływają na to dwojakiego rodzaju przyczyny: a) wewnętrzne, b) zewnętrzne.

Co do przyczyn wewnętrznych, to zanotować wypada brak ludzi z wyższą inteligencją, oraz kłótnie Polaków katolików z Polakami ewangelikami.

Szlachty polskiej na Szlązku niema wcale, chłopci zaś (siedlacy) mało posyłają dzieci do gimnazyjum z powodu trudności językowych. Wykład bowiem w szkołach elementarnych wjejskich jest wyłącznie polski, gimnazyja zaś czysto niemieckie. Syn chłopa polskiego do gimnazyjum dostać się nie może, bo nie umie po niemiecku. Z wyższego wykształcenia w Cieszyńskiem korzystają głównie Niemcy.

Pod Cieszyńskiem, w Kocobędziu jest szkoła rolnicza, ale również trudno się do niej dostać, bo wykład czysto niemiecki.

Co zaś tyczy się kłótni wyznaniowych, to te przyjęty charakter skandaliczny, a rozdmuchiwane przez zręcznych agitatorów, prowadzą do coraz większego rozdwojenia. Rzecz polega na tem, że Polacy Księstwa Cieszyńskiego dzielą się na katolików (przeszło 100,000) i ewangelików (70,000). Oba te wyznania do niedawnego czasu (ksiądz Otto) żyły z sobą w zgodzie; ewangelicy zaś byli nawet lepszymi narodowcami, niż katolicy (np. Stalmach). Jednak od czasu gdy superintendentem po ks. Otto został pastor Haase, rozdział wystąpił wyraźnie. Pastor Haase jest to Niemiec zapalczywy, bardzo zdolny agitator, wróg wszystkiego co polskie. Wydaje on w języku polskim piśmko ludowe p. t. *Nowy czas i białamuci ludność polską — ewangelicką*. Tłumaczy on parafianom i czytelnikom, że katolicy to są jezucici, wrogowie postępu i swobody, a więc ewangelicy powinni zerwać z nimi na zawsze i iść ręką w rękę z partją liberalną.

Agitacje te doprowadziły do tego, że *liczne rodziny ewangelicko-polskie, mimo że nie znają języka niemieckiego, uważają się za Niemców*. Znam rodziny ewangelickie chłopskie, w których żona nie umie po niemiecku, dzieci nie umieją po niemiecku, językiem domowym od wieków jest język polski, a mimo to rodziny te ciągną ku germanizmowi. Dla czego? Dla tego że ojciec liznał trochę niemieczyny, a przytem poddał się agitacyjnemu wpływowi p. Haasego. Eh, może by się on i nie poddał tak łatwo panu Haasemu, gdyby go do germańskiego obozu nie zapędzili sami rodacy-katolicy. Tak jest! Mówiliśmy o tem, że na Szlązku brak inteligencji; tam zaś gdzie jej brak, jedyną inteligencją stanowi duchowieństwo. Otóż duchowieństwo katolickie ujęło w swe ręce ster spraw politycznych i postanowiło lud polsko-szlącki zaprowadzić... na Wawel? Nie! Do Rzymu.

Z dwojga złego wolę mniejsze. Jeśli stan móżgów na Szlązku inaczej nie pozwała, to już wolę Rzym niż Berlin. Rezygnacja ta byłaby nawet nicyle rozpaczliwą, gdyby u steru zasię dli wyłącznie mężowie nauki i rozsądku, tacy np. jak ksiądz Świeży i ksiądz Fuzoń. Ale zdarza się częstokroć, że ks. Świeży, jako poseł, wyjeżdża do Wiednia, by radzić nad zbawieniem monarchii rekuskiej—wtedy chwytą za pióro ks. proboszcz jednej z wiosek, ksiądz X., któremu natura dała taktu za mało, ale za to obdarzyła go nadmierną krewkością; otóż ksiądz X. chwytą za pióro, wymachuje niem, niby maczugą i woła: „hej, wy podłe lutry! Wasz Marcin Luter był odpadłym, pełnym nałogów, mniczem. Precz z lutrami!”

Naturalnie że ten objaw szczerości księdza proboszcza, pomieszczony w „Pośle” (organ polityczny związku szląckich katolików) z radością podchwytuje superintendent ksiądz Haase. Bo któż to są owe lutry? To są Polacy-ewangelicy, najczystszej krwi Polacy!

Tedy pan Haase przemawia do oplwanych: „Bracia, jest podłym, kto szuka związku z tymi, którzy nim gardzą. Pójdźcie ze mną!”

I Polacy-ewangelicy, odepchnięci od swoich, idą z panem Haase do Berlina...

Do przyczyn zewnętrznych niedoli politycznej szlązaków należy obojętność dla nich Koła pol-

skiego w Wiedniu. W owem Kole zasiadają tacy patryjoci jak hr. Stadnicki, którzy, by nie robić rządowi trudności, gotowi poświęcić współplemienników swoich. Niech Bóg tego nie pamięta naszym galicyjskim... źle rzekłem: rakuskim patryjotom!

Koniec końców Szlązak jest zostawiony samemu sobie, a po cierniowej drodze politycznego życia zaczęło go prowadzić duchowieństwo katolickie.

Pytanie, jak go prowadzi? Zamiast odpowiedzi posłuchajmy co mówi „Posel” organ związku katolików szlązkich, wychodzący w formie broszurek, opatrzonych kolejnymi numerami.

Więc tedy „Posel” nr. 13-ty powiada: „Związek nasz ma dwie podstawy: katolicyzm i patryjotyzm. Nasz związek jest najprzód katolickim, ma bronić wiary świętej i t. d.”

„Drugą podstawą naszego związku jest patryjotyzm. My wierni katolicy mamy inny patryjotyzm, oparty na zasadach wiary katolickiej. My wierni katolicy mamy trzech ojców: pierwszy mieszka w niebie, drugi w Rzymie, trzeci w Wiedniu.” (str. 24).

Sądzę, że dosycy tych dosłownych cytów.

Mimo to trzeba przyznać, że „Związek” wyrósł na siłę, z którą liczyć się trzeba; trafił on do najdalszych zakątków prowincyi, do chat i lepianek, rozbudził umysły i zapalił je... do nieba, Rzymu i Wiednia.

Gazda.

Przegląd społeczny.

Łódź. (Kor. „Głosu”). Jeden z mniejszych fabrykantów tkackich jeszcze od jesieni puszczał swą fabrykę w ruch od godz. 8 rano do godz. 5 po południu. Na początku lutego zapowiedział robotnikom, że im zniży płacę, ale za to będą mogli pracować od godz. 5 rano do godz. 8 wieczorem, a gdy się interesy poprawią, to im zarobek podwyższy, że więc w ten sposób i on zyska, gdyż będzie mógł tanio towar sprzedawać, a więc sprzeda go więcej, i oni więcej zarobią. Robotnicy się zgodzili i pracowali dłużej przez dwa tygodnie przy niższym zarobku, po dwóch tygodniach jednak fabrykant znów skrócił dzień roboczy do poprzedniego rozmiaru, ale zarobków — nie podwyższył. — P. Wicke, fabrykant gumy do kamaszy, również zachęcał swych robotników, aby się zgodzili na niższy zarobek a dłuższy roboczy, ale robotnicy nie chcieli, mówiąc, że potem już im fabryka zarobków nie podwyższy, choćby się czasy poprawiły. Dano więc wszystkiemu spokój. W fabryce tej w r. z. chciano zaprowadzić marki do kontrolowania robotników, ale ci rzucili pracę i p. W. musiał ustąpić, a markę do dziś dnia niema. W przedal-ni p. Dobranieckiego obniżono zarobki chłopcom szpiner-skim, wskutek czego rzucili oni robotę i udali się na skargę do inspektora fabrycznego. Ten przybył na miejsce, zbadał całą sprawę i p. D. przywrócił poprzednie zarobki.

Józef P.

Łódź. („Kor. Głosu”). Tylokrotnie już wam donosiłem o nędzy, panującej u nas wśród robotników z powodu braku pracy, że, doprawdy, boją się więcej o tem pisać, aby nie znudzić czytelników. W każdym jednak razie razie uważam za potrzebne dodać jeszcze, że wielu robotników chodzi po domach po zebraniu, przyczem niejednokrotnie dopuszczają się kradzieży. Przy ul. Nowomiej-skiej jakiś żyd utrzymuje biuro pisania prośb i skarg do sądów i różnych władz. W biurze tam pracuje kilku pisarzy i podniecanie ludzi do procesowania odbywa się na wielką skalę. — W teatrze za staraniem dr. Wieliczki, znanego u nas opiekuna młodzieży szkolnej odbyło się przedstawienie na korzyść uczniów gimnazjum, dochód jednak był mały, gdyż publiczność ma teraz co innego do roboty. Oto interesuje nas cyrk, gdzie występują jacyś atleci, z którymi walczą amatorzy, aby zdobyć nagrodę. Jeden z amatorów żali się przez ogłoszenia, że przybył umyślnie z Warszawy dla pokonania silacza, a ten wykroca się od walki.

Pracownik.

Tarczyn. (Kor. „Głosu”). Mieszczanie tutejsi i włościanie okoliczni dosycy dużo czytają, głównie książek, pi-sma zaś są mało rozpowszechnione. Jeżeli jednemu poży-czyć jakiej książki, to zwykle obiega ona całe miasteczko lub wieś. Przed kilku laty jeden z szynkarzy używał na-wet książki na wabika, aby ściągnąć do siebie większą ilość gości i w tym celu wypożyczał swym stałym gościom książeczki ludowe do domu, to też szynk jego był za-wsze pełen i o książki wszyscy prosili. Fakt ten dowodzi wielkiego popytu na słowo drukowane. Niektórzy naby-wają nawet książki i to dość drogie niekiedy. Znany mi jest np. fakt, że jeden niezamożny mieszczanin sprowadził

sobie z Warszawy Żywooty świętych za 6 rs., a prócz tego kupił kilkanaście książeczek ludowych tanich. Najmniej poczytnymi są książki o gospodarstwie rolnem, gdyż mieszczenie nasi czują wstręt do gospodarowania z książ-ki, jak się wyrażają. Próbowałem wstręt ten zwoływać, do-wodząc im, że to, co się znajduje w książkach, jest rezul-tatem doświadczenia, powiedziałem, że przecie każdy z nich na zasadzie własnego doświadczenia mógłby napisać podobną książkę i że gdyby ktoś przeczytał ją i według niej gospodarował, w takim razie postępowałby tak samo, jak gdyby słuchał ustnej jego rady i że ci, którzy piszą książ-ki gospodarze, tem się tylko różnią od zwykłych śmiertel-ników, że mają więcej doświadczenia. Niejednokrotnie pro-wadziłem na ten temat bardzo długie dysputy, ale wszystko napróżno. U włościan okolicznych tworzą się nawet bi-blioteczki, i tak jeden ze znanych mi gospodarzy posiada już dziś kilkadziesiąt tomików i na pomieszczenie biblijo-teki sprawił sobie nawet oddzielną szafę. *Kierasant.*

Żychcice. (Kor. „Głosu”). Do tej pory nie zdarzy-ło mi się w żadnym z pism czytać korespondency z na-szej wioski, położonej w gminie Bobrowniki, w pow. bę-dzińskim, a ciekawy to kąt pod każdym względem. U nas z dawnych czasów kopano rudę żelazną i galman (z któ-rego się wytapia cynk), co też i dziś jeszcze kopią. Przed trzydziestu laty wytapiano w Żychcicach cynk, ale wtedy nie było jeszcze takich pieców, jak dziś, więc nad rzeczką, która płynie z pastwiska bobrownickiego, były urządzone skrzynie, w których dziewczęta płakały galman, a potem wieziono go do pieców do Dąbrowy górniczej. Rudę żela-zną przewożono wtedy furami do Prus, do Królewskiej hu-ty i w tym celu około kolonii Kamecke zbudowana rzecz-oc most. Gdy Dąbrowa przeszła na własność rządową, to ra-zem z nią przeszły też wszystkie inne kopalnie okoliczne. Za czasów rządowych przyjmowano młodych górników, którzy się zwali przysięgłymi i wolni byli od wojska, na-tomiast zaś musieli pracować w kopalniach przez dziesięć lat, pobierając zwykłą płacę. Po sprzedaniu francuzom, kopalnie przez pewien czas stały bezczynnie, aż niejaki Wolf, żyd z Siemianowic na Szlązku, wziął te kopalnie w dzierżawę i kopał galman, który wywoził do swoich hut za granicę. Potem zarzucono kopanie galmanu, a zaczę-to kopać rudę żelazną, ale wożono ją już do Dąbrowy, a nie za granicę. W r. z. pracowało tu około 200 ludzi mężczyzn i kobiet. Jest tu robota wierzchnia i dolna, to też na ziemę sporo ludzi oddalono i zostało. tylko 80 gór-ników. Wszyscy oficjalisci tutejsi — to zbieranina z całego świata. Zawiadowca, mahometanin, jeszcze w grudniu zapowiedział, że od Nowego Roku każdy górnik musi wy-kopać 7 metrów kub., a sleper (oiskacz) wywieźć tę ilość, przyczem od metra będą pobierać po 13 kop. W stycz-niu płacono górnikom jeszcze po 60 kop. dziennie. Przed d. 15 lutego rozeszła się pogłoska, że geltag (dzień wy-płaty) będzie bardzo lichy. Nie dowierzaliśmy temu, a jednak okazało się to prawdą. W terminie zaczęła się wypłata i dostawali górnicy po 4 rs., po 3 rs., a niejaki Pawełczyk za 25 dni dostał 3 rs., inna dziewczyna za dwa dni roboty dostała dziesięć kopiejek. Powstał straszny krzyk, odgrazanie się, aż się wdali w tę sprawę dwaj stra-żnicy ziemscy, umyślnie sprowadzeni przez kopalnię przed wypłatą. Następnego dnia była niedziela, d. 17 lutego prawie nikt nie przyszedł do roboty. Przez następne dwa dni zarząd rozsyłał do górników z wezwaniem, aby przy-szli, to każdy dostanie jeszcze po 2 rs., gdy się jednak zgłosili, to nic nie dostali, tylko zawiadowca ich pozapi-sywał i podobno dopiero d. 22 lutego dopłacono im przy-rzeczoną sumę. Do pracy prawie nikt nie chce wrócić, tylko najwięksi nędzarze. Między górnikami krąży po-głoska, że jest takie prawo, iż gdy kopalnia stanie choć przez jeden dzień, to przechodzi znowu do francuzów, ale to f lesz, gdyż i w r. z. w maju tak samo ludzie musieli opuścić pracę z powodu lichego zarobku co przez dwa tygodnie, a jednak żyd nie stracił prawa eksploatacyi kop-alni. Teraz musimy zmykać do Prus o milę do roboty, a tam nas wszyscy palcami wytykają i dają nam co naj-gorszą robotę. Niedosć na tem, górnicy tamtejsi starają się w Berlinie, aby zabroniono górnikom naszym przy-chodzić odsiennie z Krolestwa za pracą i wkrótce spod-ziewają się pomyślniej odpowiedzi. Mam jeszcze dużo różnych rzeczy pisać, ale odkładam je do następnego li-stu. *Józef Knopik.*

Będzin. (Kor. „Głosu”). Zapytujęcie mię, że czy wśród ludu naszych okolic często zdarzają się wypadki emigracyi do Ameryki i czy nie uwijają się tu u nas agenci zagra-nicznych towarzystw emigracyjnych. Otóż mogę was za-pewnić, iż o niczem podobnem u nas teraz nie słyhać i agentów nie znamy. Dawoiej zdarzały się często wypadki ucieczki za granicę młodych ludzi przed poborem wojs-kowym, czemu sprzyjała bliskość granicy, dziś jednak i o tym już nie słyhać. *W. Nieznanowski.*

Lublin. W *Kuryerze porannym* czytamy, że w sądzie okręgowym lubelskim na ławie oskarżonych zasiadło 13 rzeźników lubelskich, oskarżonych o znowę przy sprze-daży mięsa. Rzeźnicy bogatsi w Lublinie są wyłącznie ży-

dzi i oni biją bydło, a dopiero mięso sprzedają kolegom swym chrześcijanom. W r. z. z uwagi na taniłość bydła władze miejscowe obniżyły takse do 8 kop. za funt i po-stawiły posterunki policyjne w jatkach aby rzeźnicy nie brali cen wyższych. Wówczas rzeźnicy żydzi zwołali się i przestali szlachtować bydło. Nie pomogły wszelkie przed-stawienia, znowa trwała dni kilka, w mieście dał się u-czuć brak mięsa, skutkiem czego magistrat zaczął bić by-dło na własne ryzyko i sprzedawać mięso pod nadzorem urzędników. Wówczas dopiero po kilku dniach znowa ustała. Skazał oskarżonych na więzienie od 2 do 4 mie-sięcy.

— **Płock.** Korespondent *Ziarna* pisze, że koloniści niemieccy całymi rodzinami wynoszą się z gub. płockiej do wołyńskiej, głównie do powiatów: żytomierskiego, rówień-skiego i nowogrodzko-wołyńskiego. Emigracja ta odby-wa się najwięcej z powiatów: ciechanowskiego, lipnow-skiego, płockiego i łockiego.

— **Nowo-Radomsk.** Do *Tygodnia* piszą, że stagnacja przemysłowa daje się tamtejszym fabrykom silnie we zna-ki, skutkiem czego zredukowano tam ilość godzin pracy, a w niektórych fabrykach zmniejszono ilość robotników.

— **Bobrujsk.** (Kor. „Głosu”). W przeszłym liście nad-mieniłem, iż Bobrujsk, wyłącznie składający się z drewnianych budynków, nader często podlega pożarom. Oko-liczność ta zmusiła do utworzenia się Towarzystwa wol-nej straży ogniowej, głównymi inicjatorami którego byli pp. W. i P. Ostatni obecnie jest prezesem zarządu To-warzystwa, dowódcą zaś straży ochotników, przeważnie składającej się z żydów rzemieślników, jest p. R. Wkrót-ce mają nastąpić wybory nowego dowódcy, z terażniejszego bowiem nie są zadowoleni. Wogóle należy powiedzieć, iż nie zważając na najusilniejsze starania prezesa Towa-rzystwa, ostatnie jest jeszcze w takim stanie, że zaledwie może nieść pomoc nader ograniczonej części miasta, dru-ga zaś, zwana Miński forstadt, nierównie obszerniejsza i zasiełona przeważnie przez chrześcijan, zostaje w razie klęski tylko na opiece boskiej. Z tego samego powodu — braku środków materyjalnych — działalność Towarzystwa w ziemie jest niemożliwą, ponieważ wszystkie becaki, ma-szyny i inne narzędzia stają zamrożone, nie mały bowiem opalanych budynków dla ich pomieszczenia. Sami zaś ochot-nicy nie mają zimowego odzienia, jest to biedota, utrzy-mująca się z pracy rąk własnych. Na rok bieżący pro-jektują urządzenie *centralnego depôt* dla pomieszczenia narzędzi. Peniądże na ten cel zbierają ze szczipłych składek obywateli. Kilka razy do roku dają prócz tego w teatrze przedstawienia amatorskie na korzyść Towa-rzystwa wolnej straży ogniowej. W każdym razie nie daje to więcej niż 1,000 r. co widocznie jest zbyt mało, zwłaszcza przy dotychczasowym bezładzie. Mamy jednak nadzieję, że przy warunkach zmniejszenia wpływu semi-tów na działalność Towarzystwa, interesy się poprawią. — Pokażą to przyszłe wybory. Ustępujący karnawał nie przy-niósł u nas nic wesołego, zwłaszcza w towarzystwie pol-skim. Tańce wyszły prawie zupełnie z mody, wreszcie, nie ma komu tańczyć, młodzieży bowiem posiadamy nie wiele, a i ta jakoś „skwaśniała”. Co do kart, tej zwy-klej rozrywki towarzystwa prowincjonalnego, o ile mog-łem zanotować, w ściśle polskiem kółku nie mają one wielkiego miaru. P. S. Miejsce dla kościoła zostało obrane na końcu miasta. *Wilhelm Rentlūb.*

Z okolic Równego. (Kor. „Głosu”). Rok ubiegły u nas był wyjątkowo nieurodzajnym. Oziminy, zwłaszcza na gruntach włościańskich, były wprawdzie lada-jakie, lecz jar-zyny — owies i jęczmień — miejscami z racyi posuchy wca-le nie powschodziły. Przy braku łąk w okolicach Równego słoma jarzynna jest niezbędnie potrzebna, dla zimowli była, ponieważ zwykle ceny siana w tutejszej mało-sien-nej okolicy wahały się od 25 — 30 kop. pud, a w roku obecnym podniosły się prawie w dwójnasób. Wyjściem z trudnego położenia dla włościan i wogóle osób, po-trzebujących siana była, sprzedaż inwentarza. Jesienią miasteczka wołyńskie przepelnily się masą koni robo-czych, sprzedawanych przez włościan po cenie niesłychanie niskiej — 1,5 rs. — 2 rs. Aferzyści żydzi całe tabuny ku-pionych koni wyprowadzali z miasta — przy tem w takiej — ilości, że po wąskich drogach szosowych jadącym z jarmarku utrudnionym był przejazd. Konia natychmiast zabijano na skóry. Tak olbrzymia wyprzedaż koni przez biedniejszą ludność kraju zawiadła w wysokim stopniu rachuby niewiele wprawdzie gospodarzy wiejskich, ma-jących rzadki tutaj produkt — siano. Jesienią gospodarze ci naznaczyli cenę około 40 kop. pud — płacono. Na-stępnie niespodziany wylew rzek Horynia i Styrz zabrał ogromną ilość trawy, za siano żądano już 50 — 60 kop. p. Lecz rozpacz nie mających karmu gospodarzy wzrosła i wywołała ostateczny środek — sprzedaż inwentarza robo-czego. Wskutek tego, pomimo niesłychanego w okolicy braku karmu, u niektórych gospodarzy wołyńskich jeszcze teraz przy nadchodzącej wiosnie — stoją duże sterty pię-knego siana, oczekując kupców. Drugą przyczyną tego objawu, że produkt tak potrzebny nie był prawie przed

miotem handlu, było to, że w teraźniejszym roku mało urodzajnym na zboże większość gospodarzy, przeważnie, włościan, nie była w stanie kupować siana nawet według zwykłych cen. Znaczniejsi zaś gospodarze-właściciele i dzierżawcy, chcąc wynagrodzić nieurodzaj tego roku wygodną sprzedażą siana, podnieśli ceny na ten jedyny prawie tegoroczny produkt swej gospodarce. Osoby, mające na sprzedaż paszę, trzymały czas jakiś całą okolicę od siebie w zależności, każdy wiedział, że taki to pan X, jeśli mu naznaczy przystępną cenę na siano—uratuje mu gospodarce. Lecz pp. monopolisci sienni zbyt despotycznie chcą wyzyskać kieszenie współobywateli, zawiedli się w rachubie—dużo gospodarstw poniosło ciężkie, często niepowetowane straty, lecz wolało oddać się na łup handlarzom-żydom, niż na wyzysk monopolu. *W. Kl.*

Dorpat. (Kor. „Głosu”). Właścicielami ziemskimi w całym kraju „nadbaltyckim” jest wyłącznie niemal miejscowa szlachta niemiecka, bardzo wiele członków której nosi tytuł baronów. Cieszą się oni tutaj wielkim poważaniem i szacunkiem i z pogardą i dumą barońską spoglądają na zwykłych śmiertelników, nie mogących się pochwalić tak dostojnym pochodzeniem. Własność ziemska tutejszych obywateli dzieli się zwykle na dwie nie równe części. Większą część dzierżawia włościanie, a na mniejszej gospodarstwem zajmuje się sam obywatel lub też jego rządcą. „Ziemia włościańska” każdego obywatela dzieli się na działy. Na każdym z nich znajdują się odpowiednie zabudowania gospodarskie, wybudowane czasami przez samego obywatela, czasami zaś przez dzierżawcę, przytem w tym ostatnim razie kosztą budowy zaliczane są do sumy dzierżawnej. Wsi więc niema tu wcale co stanowi typową różnicę kraju tutejszego w porównaniu z królestwem. Na przestrzeni kilkunastu wiorst, jaka dzieli polskie wsie, tutaj spotykamy porozrzucane w rozmaitych kierunkach osady włościan dzierżawców. Dom mieszkalny takiego dzierżawcy składa się z 2—4 pokoi z podłogą drewnianą, kuchnia bywa zwykle tak zwana angielska. Nie zważając na ciężkie warunki dzierżawy i nieurodzajność piaszczystej i kamienistej ziemi, włościanie dzierżawcy żywią się i mieszkają tu bez porównania lepiej niż włościanie królestwa. Zamożniejsi prenumerują gazety (w Dorpacie wychodzi koło 8 gazet estońskich). Wogóle procent analfabektów jest tutaj bardzo nie znaczny. Dzierżawcy oddają dzieci do gimnazjów i uniwersytetu. Główny dochód tutejszego gospodarstwa stanowi nabiał: mleko, śmietana, masło, sery, szczególnie te ostatnie wyrabia się tu w znacznej ilości i pod nazwą „szwajcarskich” rozkoi się nie tylko po miastach tutejszego kraju, lecz do Petersburga i zagranicę nawet. Wypłata sumy dzierżawnej odbywa się w części gotówką, a w części produktami gospodarstwa rolnego, a nawet i żywym inwentarzem, wypłata tylko gotówką zdarza się rzadko, wypłata zaś samemi tylko produktami rolnymi nie jest tu wcale znaną. Warunki dzierżawy określa piśmienna umowa, czyli kontrakt, zawierany zwykle na 6—12 lat. Chłopi dzierżawcy, jako też ci nieliczni chłopcy, którym udało się nabyć na własność dzierżawione poprzednio działy, mają być mniej więcej ubezpieczeni. Większość jednak chłopów tutejszych tworzy proletaryjat bezrolny, znajdujący zajęcie służbę po dworach, albo u włościan dzierżawców i właścicieli, lub wreszcie szukający zarobku w miastach. O nich jednak pomówimy inną razą. *Zero.*

Petersburg. Wiele mówią tu o niezwykle powodzi nową pożyczki i o kłopotach ministerjum finansów z tego powodu. Po zaspokojeniu żądania tych, co przedstawili do zamiany bilety konwertowane obecnie pożyczek, do rozporządzenia pozostaje tylko 160,000 obligacji nowej pożyczki, gdy tymczasem liczba życzących otrzymać takowe za gotówkę jest dwakroć większą.—Toasty pp. Spasowicza i Solowiewa na obiedzie uniwersyteckim komentowane są bardzo rozmaicie. Faktyczny nawet przebieg podawany jest rozmaicie, gdy *Nowosti* utrzymują, że protestowało zaledwie 5—6 ludzi, *Grahdanin* utrzymuje, że obydwa toasty zagłuszone zostały sykaniem i gwizdaniem większości.—Wydana przez p. Komarowa, redaktora *Słowińskich Izwiestij*, mapa etnograficzna Słowiańszczyzny wywołała, jak wiadomo, wielkie niezadowolenie wśród serbów, których jakoby pokrzywdziła. Niezadowolenie to odbiło się i w Rosyi, podobno też Towarzystwo słowińskie zreformuje redagowane przez p. K. pismo, które, jak wiadomo, jest własnością Towarzystwa.—W petersburskim powiecie organizuje się pierwsze kółko rolnicze, mające na celu ułatwić chłopom nabycie ulepszonych narzędzi i rozszerzenie używania nawozów sztucznych.—Pani Kałmykowa otworzyła pierwszą księgarnię ludową, w której znaleźć można wszystkie dzieła, przeznaczone dla ludu, gdziekolwiekby wydane.—Istnieje tu Towarzystwo opieki nad uczniami elementarnych szkół miejskich, liczące 500 członków, posiadające 50,000 rs. kapitału, i wydatkujące przeszło 8 tys. rocznie. Dla pomocy biednym, leczącym się w szpitalach istnieje 5 towarzystw. Najbogatsze, pozostające pod patronatem Najjaśniejszej Pani istnieje przy szpitalu obuchowskim, liczy

ono 400 członków, kapitały zaś jego wynoszą 123,000 rs. Towarzystwo utrzymuje 2 ochronki, dla sierot, których rodzice zmarli w szpitalu obuchowskim, przytułek dla rekonwalescentów i oprócz tego wydaje rocznie 3,000 rs. na zapomogi wychodzącym ze szpitala. Mniej zasobnemi są towarzystwa przy szpitalu św. Maryi Magdaleny, (40 członków 18,000 rs. kapitału i 1,800 rs. wydatków). Pozostałe zaś 3 są zupełnie niezamożne. Nie tylko warszawscy lekarze nie uznają hipnotyzmu, są tacy i w Petersburgu. Na posiedzeniu Towarzystwa medycznego prof. Wagner zaproponował utworzenie specjalnej komisji dla badania zjawisk hipnotycznych, kilku obecnych lekarzy wypowiedziało przekonaniam, że hipnotyzm jest tylko szarlataniństwem i projekt prof. W. upadł.—P. Kałmykowa ofiarowała obfitą, bo 2,000 egz. liczącą, kolekcję obrazków ludowych (t. zw. *lubocznych*) komitetowi oświaty. W porównaniu z zachodnio-europejskimi obrazki ruskie, zdaniem pani K., jakkolwiek podają mniej wiedzy są za to bardziej pogładowe, przytem wykonanie najtańszych pod względem technicznym jest lepsze.

Z ZAGRANICY.

Poznań. (Kor. „Głosu”). Wbrew oczekiwaniom, powiem nawet—marzeniom, przy wyborach dodatkowych pozyskaliśmy dwa jeszcze mandaty, tak, że mamy obecnie 16 posłów, którzy mogą już stawić samodzielnie wnioski. Obu nowych posłów wybrano w Prusach, w okręgu Grudziądz-Brodnica—Różyckiego i Lubawa-Susz—Rzepnickowskiego. W tym ostatnim okręgu po raz pierwszy przeszedł do parlamentu kandydat polski. U nas w Księstwie, w okręgu Wschowa-Leszno omalno nie zwyciężył kandydat polski, ks. F. Radziwiłł, który otrzymał 5,001 głosów wobec 5,282 oddanych na landrata Hellmana. Można na pewno powiedzieć, że gdyby inny kandydat stał z naszej strony, nie książę Radziwiłł, który swym klerykalizmem i lojalizmem wstrętny jest dla wolnomyślnych Niemców, zdobylibyśmy i ten okręg. Kto wie, zresztą, czy nie będziemy mieli jednego jeszcze posła, wyborcy bowiem z okręgu Wyrzysk-Szubin zakładają protest przeciwko wyborowi Polla, mającego tylko o 193 głosów więcej od hr. L. Skórzewskiego. Protest to uzasadniony, niesłychaną bowiem była presya przy wyborach ze strony urzędników państwowych, jak również obłudawców Niemców. Przy obecnym składzie większości parlamentarnej można mieć nadzieję, że protest będzie uwzględniony.—W ostatnich dniach mówią tu u nas, że jakoby w sferach rządowych istnieje projekt oparcia się w parlamencie na konserwatystach i centrum, oraz na frakcyi polskiej, inaczej bowiem niema sposobu sformować większości. W takim zaś razie musiano by uczynić polakom pewne koncesyje, a przynajmniej cofnąć prawa wyjątkowe. Podobno p. Kościelski prowadzić ma układy w tej sprawie. Stańczycy nasi in spe już się wielce cieszą i snują przeróżne marzenia.—Wychodzące poprzednio w Berlinie pismo polskie p. t. *Prawda* upadło, natomiast wychodzić zaczęła *Gazeta* pod redakcją K. Wojciechowskiego.—Nowy minister handlu zatwierdził „związek rewiżyjny” spółek pożyczkowych polskich w Księstwie, czego nie spodziewano się zgola. *Wojcieczek.*

Kraków. (Kor. „Głosu”). Sprawa wadowicka może właśnie dla tego, że już jest na ukończeniu, zajmuje w tej chwili powszechną uwagę. Rozpoczynam list dzisiejszy od małego sprostowania faktu, który nieoględnie roztelegrafowano z Wadowic do dzienników warszawskich. Oto „Wiek” na podstawie depeszy, że „sędziowie przysięgli bili brawo po przemówieniu prof. Rosenblatta” wystąpił nie bez słuszności przeciw dwunastu obywatelom, powołanym do pełnienia najszczytniejszych obowiązków sędziowskich. Na szczęście jednak, rzecz się miała inaczej, artykuł więc pomienionej gazety opartym był na zgola nieprawdziwym założeniu. Po mowie prof. d-ra Rosenblatta odezwały się rzeczywiście oklaski w audytorjum, lecz sędziowie nie okazali z tego powodu w jakikolwiek sposób swego zadowolenia. Przeciwnie, uważają za konieczne podnieść, że zachowanie się przysięgłych (w większej części włościan) jest pod każdym względem uznania godnym i nie ulega wątpliwości, że ramię sprawiedliwości dosięgnie tych, którzy pastwili się nad biednym włościaninem, odbierając go z ostatków mienia. Emigracyi agenci oświecimskiej nie stworzyli, bo prąd ten głęboko wkorzenił się w rdzeń naszych stosunków, ale oni bezwzględnie uciemieźiali wychodźców a w spółce z przedstawicielami władz wiedli na drogę wyzysku i nędzy. Przyszłość bardzo niedaleka pokaże, za jakie zbrodnie (oszustwa czy gwałtów) pokutować będą handlarze „żywym towarem.”—Z kolei przechodzę na grunt krakowski. Byłby tu doprawdy w kłopotcie, o czem żąd w tej chwili napisać, gdyby nie „komitet pięciu” w sprawie pomnika dla Mickiewicza, którego „gorliwa” działalność nasuwa trochę materiału. Wyobraźcie sobie, czytelnicy, że dzięki przedsiębiorczości tych panów, podziwiała gawiedź krakowska „gutaperkowego Mickiewicza”, którego komitet obwoził po wszystkich placach miejskich dla przeko-

nania się, gdzieby go postawić należało. Pomijając już samą szopkę, publicznego skarcenia godną, winniem zaznaczyć, że pp. hr. Przędziecki, Matejko i Zacharjewicz (Artur hr. Potocki choruje, a dr. W. L. Jaworski stanowi opozycję) uchwalili sobie przy kieliszku, wbrew życzeniu ogółu, aby pomnik wieszca stanął na wylocie ulic: Sławkowskiej i Długiej, a nie (jak większość pragnie) na rynku krakowskim. Jest to sobie kaprys trzech powag, usiłujących przekonać społeczeństwo, że winna słuchać ich rad, postępować za ich przewodem. Trójka ta, pod pulkierzem obywatelskiej pracy, powzięła zamiar ożywić i upiększyć jedną dzielnicę miasta, tam więc nakazuje dla schlebienia indywidualnym ambicjom postawić monument Mickiewiczowi. Niezawodnie partya stańczykowska, w uznaniu zasług tych mężów, wyprawi im jubileusz i przekaże potomności nazwiska tych, „którzy tak dzielnie wywiązali się z powierzonego im zadania.” Ale co prawda, to i z koł powyższych płyną gorzkie żale na komisaryę Mickiewiczowską, która rozporządzając groszem publicznym, coraz więcej sprawę zabagnia i odwleka.—Prezydent miasta dr. Szlachetowski uznał wreszcie za stosowne utworzyć tutaj filję komitetu ratunkowego dla niesienia pomocy włościanom, zagrożonym klęską głodową.

Voz.

—P. S. Dowiaduję się w ostatniej chwili, że tutejszy sąd karany ma pociągnąć do odpowiedzialności 26 studentów, którzy rzekomo brali udział w ostatnich demonstracjach. Akademicy ci mają być oskarżeni o zaburzenie spokoju publicznego i naruszenie własności (złamanie biustu prof. Korczyńskiego). Ile w tem prawdy—niebawem zobaczymy.

Lwów. (Kor. „Głosu”). Wiadomo już czytelnikom „Głosu” że rząd austriacki wniósł obecnie do Rady państwa projekt uregulowania stosunku kraju do państwa pod względem t. z. długu indemnizacyjnego, który obciąża od lat kilkudziesięciu budżet galicyjski. Sprawę tę, nieco zagnatwaną, postaram się w krótkości wyjaśnić. Oto w roku 1848, przy zniesieniu pańszczyzny, ogłosił patent cesarski, że wynagrodzenie za zniesione powinności poddańcze czyli t. z. indemnizacja wypłaconą zostanie interesowanym ze skarbu państwa. Pomimo to, kiedy przyszło później do zaciągnięcia i umorzenia długu indemnizacyjnego, ciężar ten zwołano na kraj w ten sposób, że galicyjski fundusz indemnizacyjny pokrywał miał swe wydatki (obecnie 2.843,000 rs.) z krajowych dodatków do podatków a skarb przyczynia się zaledwie kwotą 2.635,000 i to z zastrzeżeniem zwrotu. W r. 1868 ministerstwo centralistyczne wniósło projekt ugody, wedle którego dług indemnizacyjny (jaki do tego czasu urosł) miał być odpisany a roczna subwencya państwowa zamieniała się na niewrotną. Ugody tej sejm nie przyjął—sprawa więc poszła do archiwum, a w lat piętnaście (r. 1883) wytoczono ją ponownie przed świeżym trybunałem, bo już za rządów Taaffego i ministerstwa Dunajewskiego. Projekt tej daty nosi już na sobie piętno „par excellence” austriackiej polityki skarbowej ministra-rodaka. Powiedziano w nim, że skarb będzie dopłacał tylko 2.100,000 zł. r.—resztę zaś wydatków indemnizacyjnych ponieść ma kraj. Nadto rzucił „laskawy” wówczas rząd okruszynę, którą sobie jednak kazał zwrócić. Sejm, zwołany w r. 1883 przyjął tę nieszczytną dla Galicyi ugody, obecny zaś projekt, wniesiony do Rady państwa, oparty jest na tych samych zasadach, a co więcej, żąda, aby kraj spłacił za czas od r. 1883 do 1884 włącznie (t. j. za 7 lat) ciężary z tytułu indemnizacji, czyli 3.675,000 zł. r. Manewr taki p. ministra, obliczony widocznie na doszczętną ruinę kraju, wywołał głośnie echo oburzenia w społeczeństwie. Galicyja z upragnieniem od lat tyłu oczekuje załatwienia sprawy indemnizacyjnej, która poratowała by mogła schorzałą jej organizm ekonomiczny przez konwersyję owego długu i użycie wynikłych ząd oszczędności na cele produkcyjne. Według ostatnich wiadomości projekt ugody niema szans przejścia w Radzie państwa, co tym razem uważać musimy za rzecz pożądaną dla kraju.—Wczoraj złożyliśmy do grobu szczątki jednego z niewielu zasłużonych posłów krajowych, wymownego szermierza parlamentarnego i publicysty—*Otona Hausnera*. Zmarły, choć obcego pochodzenia, był wiernym synem kraju, w którym światło dzienne ujrzał i w wielu kierunkach oddał mu rzetelne usługi. W r. 1878 wszedł Hausner, jako deputowany większej własności do Rady państwa i tutaj dał się poznać jako doskonały mówca i zręczny polityk. Nazwisko jego stało się głośnem, wskutek pamiętnego wystąpienia z koła polskiego i mowy, wypowiedzianej w r. 1878 w dyskusji nad adresem stronnictwa konstytucyjnego. Z prac Hausnera natury ekonomicznej i estetycznej wymienię: „L'oeuvre de la peinture italienne”, „Vergleichende Statistik von Europa”, „Vergleichende Monographie der Carl Ludwigs Bahn”, „Das Menschliche Elend”. Nadto zmarły pisywał artykuły literackie, zapoznając Niemców z naszą belletrystyką. Nad grobem jego przemawiali: poseł Weigel i ak. Bienkowski. —Do „Dila” donoszą z Truskawca, że ś. p. dr. Bolesław

Lutostański nie umarł naturalną śmiercią, lecz otrul się sinkiem potasu. Według krążących tamże pogłosek miał go skłonić do tego kroku zupełny brak środków do życia, gdyż „zaone” grono magnatów, z ks. Sapiechą na czele, (właściciele zakładu kąpielowego) zmusiło Lutostańskiego dla jakichś intryg natychmiast opuścić posadę dyrektora zakładu.

Nullus.

— **Kronika słowiańska.** W Pradze w połowie kwietnia zostanie otwarta wystawa sztuk pięknych, do przyjęcia udziału w której zaproszono malarzy oraz rzeźbiarzy warszawskich. Wystawa otwartą będzie przez dwa miesiące. — Akademia umiejętności w Pradze ma otrzymać zasiłek roczny 20,000 zł. Hr. Harrach zarządził w gronie wielkich posiadaczy ziemskich subskrypcyjną na rzecz powstającej akademii. — Na wystawę czeską rząd ma przeznaczyć 40,000 zlr. — Czesi w Wiedniu starają się o zawiązanie ogólnego stowarzyszenia słowian z charakterem szczerze towarzyskim, w celu bliższego poznania się Polaków, zamieszkałych w Wiedniu, i zapobiegania wyznawaniu się dzieci słowiańskich. — Rząd austriacki popiera emigracją serbów z Bośni i obsadza opuszczone przez nich obszary kolonistami węgierskimi i niemieckimi. — *Mali list*, gazeta serbska, ostrzega rząd przed wrogami dla Serbii zamiarami osiadłych w niej czarnogórców. — Krążą pogłoski, że biskup Strossmayer będzie rezygnował z swej godności, z powodu nałożenia przez rząd sekwestru na jego majątek, w znanej czytelnikom sprawie o trzebieenie lasów biskupich i zamieszka w klasztorze. Jako następcę jego wymieniają kanonika hr. Majlatta. — Zmarł biskup prawosławny Dalmacji górnej i Istrii, Stefan Kniaźewicz, obrońca narodowości słowiańskiej w Dalmacji. — Na Szląsku austriackim, we Frydce, jak donosi *Opavskij tydejniki*, zabraniają uczniom czechom mówić swoim rodzimym językiem, nawet na ulicach. Za przekroczenie tego zakazu sadzą ich do aresztu, nawet na dość długi czas, lub dają złe stopnie ze sprawowania.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Odbyły się już wybory uzupełniające do parlamentu niemieckiego. Narodowo-liberalni wzywali wszystkie partje porządku do solidarnego wystąpienia przeciw socjalistom, ci zaś radzili owym wyborcom tam, gdzie przeprowadzenie kandydata socjalistycznego okazałoby się niemożliwym, żeby głosowali za przedstawicielami tych partji, które zobowiązują się do głosowania przeciw wszelkim prawom wyjątkowym i przeciw wszelkim ograniczeniom prawa wyborczego. Rezultat wyborów uzupełniających odpowiada rezultatom poprzednich wyborów. Zwycięzcami są partje opozycyjne: socjaliści, wolnomyślni i polacy. Do tej chwili nieznanym jest tylko rezultat wyborów w 4 okręgach. Przyszły parlament składać się będzie z 36 socjalistów, 70 wolnomyślnych, 102 katolików, 39 narodowo-liberalnych, 93 zachowawców, 10 alzackich, 27 demokratów i dzikich, 16 Polaków. Ciekawym jest porównanie liczby głosów danych za rozmaitemi partjami obecnie i przed 3 laty. Przedstawia ta tabliczka następująca:

	r. 1890 w porówn. z 1887	
Zachowawcy	919,646	— 274,858
Rządowcy	457,936	— 235,259
Narod. liber.	1,169,112	— 488,046
Wolnomyślni	1,147,963	+ 202,561
Stron. ludowe	131,438	+ 22,066
Centrum	1,420,438	— 206,657
Polacy	245,853	+ 33,226
Socjaliści	1,341,587	+ 567,405
Alzackozycy	100,479	— 147,175
Dzicy	97,109	+ 71,206
Razem	7,031,400	— 456,531

Zaznaczyć tu musimy, że liczba posłów alzackich zmniejszyła się dla tego, iż znaczna część wyborców wstrzymała się od głosowania, a przytem wybrany w Muhlhouzie socjalista postawił swoją kandydaturę w porozumieniu ze stronnictwem protestu. Obydwa triumfujące stronnictwa wprowadzają sporo świeżych sił. Wolnomyślni powołali przeważnie sędziwych już demokratów dawnej daty, z nowowyrzanych socjalistów wymienimy Mazza Schippela, autora „Nędzy dzisiejszej i dzisiejszego przeludnienia”. Ciekawe są uwagi pisma katolickiego *Germania*. Najbardziej trwożą ją znaczne mniejszości socjalistów w okręgach wiejskich, gdyż dotychczas stronnictwo to nie miało wcale zwolenników wśród chłopów. Największy wzrost głosów przypada jednak na wielkie miasta. W Berlinie podano za socjalistami 125,000 głosów (czyli o 32,000 więcej, niż w r. 1887), a ponieważ ogólna liczba głosujących wyniosła 237,000, socjaliści więc w stolicy państwa rozporządzają więcej niż połową głosów.

Gazeta *Nord* z powodu ostatnich wyborów pisze: „zwiększenie liczby głosów, podanych za socjalistami,

dowodzą, że koniecznymi są poważne reformy dla uprzedzenia katastrofy. Reformy, przedsięwzięte przez cesarza Wilhelma, są jak najbardziej na czasie.” Na jakich żywiołach oprze się rząd w parlamencie, nie wiadomo, prawdopodobnie centrum najbardziej wygra, notujemy też pogłoskę, jakoby do rządowców mają być zaliczeni i polacy.

Posiedzenia rady stanu już się ukończyły. Cesarz przyzwołał na wszystkich 3 posiedzeniach połączonych wydziałów rady, pracując po 8 godzin dziennie. Na jednym zjawił się na krótko i kanclerz. Treść postanowień, które będą przedłożone parlamentowi do zatwierdzenia, dotąd jest nieznaną. Zwraca uwagę szczególną uprzejmość cesarza dla robotnika Bucholtza, pomimo że ten przyznał się otwarcie, iż jest socjalistą. Co się tyczy konferencji międzynarodowej, to wszystkie państwa już się podobno zgodziły, chociaż z pewnymi zastrzeżeniami. Prawdopodobnie z tego ostatniego względu, a jak inni utrzymują z powodu nalegań ks. Bismarka, program konferencji, ogłoszony w *Reichsanzeigerze*, zawiodł pokładane oczekiwania. O ograniczeniu pracy dla dorosłych niema w nim ani słowa, postawione są tylko kwestyje uregulowania pracy: 1) w kopalniach, 2) w niedziele, 3) dzieci, 4) młodzieży, 5) kobiet oraz 6) środki wykonania powyższych uchwał.

Jako przedstawiciele Francji pojedą do Berlina: Fryderyk Passy, Paweł Leroy-Beaulieu i Tessereine de Bort, były minister robót publicznych. Udział Francji budzi dość silne niezadowolenie, szczególnie bulanzycy rozwijają silną agitację przeciw rządowi z tego powodu, ale i tacy nawet, jak Lookroy, Flourens, Mezieres, uważają posłanie przedstawicieli do Berlina za niewłaściwe. Zdaje się też, że był to jeden z ważniejszych powodów niespodziewanego usunięcia się Constansa. Wystąpienie tego dość zbyt uczciwego lecz przynajmniej sprytnego i energicznego ministra zachwiało stanowczo gabinet, którego nie uratuje prawdopodobnie nowy minister spraw wewnętrznych, radykalista Bourgeois.

Przesilenie parlamentarne grozi też Austrii. Prawica się rozpada.

Klub Lichtensteina domaga się od Polaków głosowania za szkołą wyznaniową, grożąc opozycją w sprawie indemnizacyjnej. Klub Hohenwarta w tej sprawie również dla Galicji jest niechętnym. Natomiast lewica niemiecka, marząca o powrocie do władzy, zaczyna kokietować koło polskie.

Ks. Orleański osadzony został w Clairvaux, gdzie korzysta z przywilejów przestępców politycznych, tj. ma osobny pokój, w którym mogą go codziennie odwiedzać bez żadnej kontroli najbliżsi krewni i przyjaciele, uwolniony jest od wszelkich robót, może nosić swoje ubranie i otrzymywać wizytę do domu.

Naquet został ponownie wybrany w Paryżu.

Liebknecht odradza robotnikom niemieckim przyjęcia udziału w międzynarodowym bezrobociu w d. 1 maja r. b.

Znany lekarz Mackenzie wytoczył proces dziennikarowi Steinkopfowi o oszczerstwo i zeznał pod przysięgą, że lekarze ostatecznie zdecydowali rakowatą naturę narośli w gardle cesarza Fryderyka dopiero na tydzień przed wstąpieniem jego na tron.

W Poznańskim i na Pomorzu rozwija się emigracja do Brazylii, gdzie, jak głoszą agenci, cesarzem będzie ks. Henryk pruski.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Cerkiew nowa.** Generał-gubernator warszawski od wiosny będzie osobiście zawiadować budową nowej cerkwi prawosławnej w Warszawie.

— **Minister spraw wewnętrznych** w Anglii oświadczył deputacjom robotników górniczych, iż rząd nie może popierać ustanowienia 8 godzinnego dnia roboczego.

— **Parcelacja.** Z dóbr Wroczyń, w pow. kutnowskim, 10 włók nabywają spółki włościańskie, płacąc po 2,500—3,000 rs. za włókę.

— **Z Essen** donoszą, że tam odbywają się liczne zebrania górników, na których stawiane są żądania podwyżki płacy i skrócenia godzin zajęć.

— **Przeniesienie** części zakładów fabrycznych B. Handtkego z Warszawy do Krzywego Rogu na teraz do skutku nie przyjdzie.

— **Ostrzeżenia.** W Niemczech urządzenie ostrzegają ludność przed werbownikami do emigracji brazylijskiej.

— **Zabójstwa.** W lesie majątku Osówka, w pow. lipnowskim, gajowy Porolowski, schwytałszy na gorącym uczynku dwóch włościan wsi Witowąż na kradzieży drzewa, gdy zaczęli z takowym uciekać, strzelił i ranil obydwóch strzmem. — W tymże powiecie, w rewirze Palawo-

dzina, należącym do lasów rządowych, stróż leśny Sztemburski, schwytałszy na kradzieży drzew z sąsiedzi 3 włościan z Dobrzynia nad Drwęcą (w pow. rypińskim), chciał ich zaaresztować, gdy jednak rzucili się na niego, wystrzelił śrutem i jednego ciężko ranil. — W lasach okręgu Rzezyca Książa w ordynacji Zamojskich znaleziono zwłoki gajowego Kudli, który w grudniu gdzieś zginął. Domyślają się, że został zamordowany przez złodzieiów leśnych. — W rewirze lasów rządowych Kaczki, pow. ilżeckiego, strzelec Jedynak, chcąc bez przyczyny usunąć od pracy w lesie włościanina ze wsi Mostki, gdy ten go nie posłuchał, wystrzelał z dubeltówki zabił go na miejscu. — Leśniczy majątku Pszonka, w pow. garwolińskim, Lewandowski, widząc dwóch włościan ścinających samowolnie w lesie sosnę, chciał ich aresztować, a gdy się rzucili na niego z toporami, wystrzelił i jednego z nich tak ranil w nogi, że musiano mu je odjąć.

— **Kartele.** W r. z. Niemcy zostały uszczęśliwione 95 kartelami przemysłowców.

— **Pogłoska.** Podobno ministerjum oświecenia zaproponowało studentom, kończącym w r. b. kurs w instytucie leśnym, miejsca nauczycieli w mających się otworzyć jesienią nowych szkołach technicznych.

— **Wystawa obrazów** Matejki podobno będzie otwarta na wiosnę w Petersburgu.

— **Misyje protestanckie.** Zakaz zbierania pieniędzy na potrzeby misyj został wyjaśniony w ten sposób, że zniesione zostały tylko specjalne święta misyjne, wygłaszanie zaś przez pastorów kazań podczas nabożeństw świętecznych na temat rozszerzania chrześcijaństwa jest dozwolonym; zakazane są dalej składki na rozpowszechnianie wiary protestanckiej wewnątrz Cesarstwa; składki na misyje zagraniczne mogą mieć miejsce tylko za pozwoleniem gubernatorów, na skutek prośb konsystorzów, pod formą ofiar, składanych do puszek; ofiary te mogą być wysyłane tylko do towarzystw: lipskiego i duńskiego, przyczem za każdą razą gubernator musi być powiadomionym o ilości wysłanych pieniędzy.

— **Autor** głośniejszy broszury, wydanej w r. z. p. t. *Głos z ludu*, jak pisze *Nowoje uremia*, zniewolony został posadą bibliotekarza u hr. Przeździeckiego i udał się do środkowych gubernii Cesarstwa w poszukiwaniu zajęcia. „Dowiedzieliśmy się, pisze taż gazeta, że jest to bezwarunkowo uczciwy człowiek i sam nawet dziwił się powodzeniu w sferach urzędowych kraju, jakiego broszura, dzięki *Warszawskiemu dziennikowi*, doznała.” Broszurę tę podobno przetłumaczono na język ruski i wydano w Wilnie.

— **Prawosławni w Królestwie.** Wyższa władza duchowna zwróciła szczególną uwagę na przestrzeganie postów i niektórych obrzędów, zupełnie zapomnianych przez ludność prawosławną w Królestwie.

— **Amerikanizacja.** W Stanach Zjednoczonych parafje katolickie polskie toczą walkę z wyższym duchowieństwem, przeważnie irlandzkim, bo te przy nominacjach proboszczów stara się wyznaczać takich, coby przyczyniali się do wynarodowienia wychodźców.

— **Tanie kuchnie.** Oberpoliomajster wystąpił z projektem urządzenia 3 tanich kuchni dla robotników, któreby były otwierane przed rozpoczęciem robót w fabrykach. Projekt ten wkrótce będzie urzeczywistniony.

— **Nowe towarzystwo.** Zatwierdzoną została ustawa warszawskiego towarzystwa jedwabniczego. — Do komitetu ministrów wniesiono ustawę ruskiego towarzystwa kopalni węgla w Sosnowicach.

— **Kilka fabryk** większych w Warszawie zamierza otworzyć złobki dla dzieci swoich robotników.

— **Rewizja.** Ponieważ włościanki wsi, leżących pod Warszawą, przyjmują na wychowanie dzieci ze szpitali Dzieciątka Jezus i od osób prywatnych, przeto ma się odbyć rewizja, w celu zbadania stanu tych dzieci i śmiertelności, wśród nich panującej.

— **Stowarzyszenie** spożywcze urzędników kolei wiedeńskiej i bydgoskiej udziela za r. z. tanyjemę od wkładów 15% i dywidendę od zakupów 65%.

— **Z cechów.** Rada gospodarcza cechu kucharzkiego uchwaliła urządzenie czytelnicy pism różnych, oraz dzieł specjalnych. Postanowiono wypłacać 60 rs. na kosztą pogrzebu szefa kuchni, a 30 rs. dla kucharzy podręcznych. Większość rady domaga się wskrzeszenia *Tygodnika kucharzkiego*.

— **Zarząd** kolei nadwiślańskiej, przekonawszy się z doświadczenia, iż oszczędności w składzie służbowym źle wpływają na bieg interesów drogi, postanowił powiększyć personel osobowy.

— **Z literatury.** W m. z. wyszło w Warszawie dzieło profesora uniwersytetu tutejszego Lubowicza w języku ruskim p. t. „Początek reakcyi katolickiej i upadek reformacyi w Polsce.”

— **Towarzystwo** kapitalistów belgijsko-francuzkich nabyło w Myszkowie pokłady rudy żelaznej i z wiosną rozpoczyna budowę dwóch wielkich pieców i walcowni.

— **Nowe pismo.** W Wiedniu zaczęło wychodzić nowe pismo w języku polskim p. t. *Nowe mody*.

— **Koncesyje** na następujące pisma utraciły moc swoją: *Gazeta informacyjna*, *Mysłowy*, *Praca i Wiadomości kolejowe*.

— **Sklejona rzeźba.** Rzeźbiarz Skonieczny, zebrawszy skrzętnie ulamki zgruchotanej grupy Kurzawy p. t. „Mickiewicz budzący gienijusza”, skleił je tak dokładnie, iż grupa ta będzie mogła być wystawioną na widok publiczny w salonie artystycznym na Nowym Świecie.

— **P. Librowicz**, warszawianin, napisał studyjum p. t. „Mickiewicz w literaturze ruskiej.” W dziełku tem pomieścił autor portrety wszystkich tłumaczy, biografów, krytyków i przyjaciół poety rosyjan.

— **Jatki końskie.** Dwu przemysłowców zakłada na Solcu rzeźnię końską, a przy niej restaurację, gdzie będą podawać wyłącznie potrawy z koniny.

— **Sprzedż pisma.** Prawo własności tygodnika *Wszystkiemu*, należącego do masy spadkowej po E. Dziewulskim, nabył na licytacji p. Ślósarski.

— **Ministryjum oświecenia** poruszyło kwestyję wprowadzenia pracy ręcznej we wszystkich seminariach nauczycielskich.

— **Z pracy.** P. Witkowski, redaktor *Kaliszanina*, ustąpił ze swego stanowiska i pismo przeszło pod kierunek p. Jawornickiego, adwokata miejscowego.

— **Spółka budowy domów dla rzemieślników**, założona w 1862 r., miała w r. dochodu czystego 2,982 rs. 96 kop., czyli że każdy z 27 uczestników otrzymał na udział

tytułem dywidendy po 110 rs., resztę zaś 12 rs. 96 kop. dołączono do dochodów r. b.

— **Wystawa nędzy** ma się odbyć niezadługo w Leeds w Anglii, z programem bardzo obfitym i urozmaiconym. Ukazą się na niej wzory bardzo wierne mieszkań najbiedniejszej kategorii robotników, oraz lokatorzy tych mieszkań we właściwych ubiorach.

— **Kasa** zaliczkowo-wkładowa przy instytucji muzycznym już się zorganizowała i liczy 39 członków, oraz około 400 rs. kapitału.

— **Resursa.** Grono urzędników kolejowych ułożyło projekt ustawy resursy dla urzędników dróg żelaznych.

— **Konwencyja** cukrowników została przedłużoną na lat 4 na warunkach dotychczasowych.

— **Z nędzy.** W tygodniu ubiegłym w pismach codziennych pomieszczono jednego ogłoszenie o zamiarze oddania na własność dziecka, a mianowicie dziewczynki pięcioletniej. Oprócz tego wypada nam zanotować jeden wypadek samobójstwa z nędzy przez rzućnię się pod koła kolei wiedeńskiej.

— **Wypadki.** W tygodniu ubiegłym pisma codzienne doniosły o 6 wypadkach z robotnikami przy pracy, a mianowicie: 1) przy ul. Nowy Świat N. 10 robotnik malarski spał z drabiny, z wysokości drugiego piętra, i poniósł ciężkie obrażenia na całym ciele, skutkiem czego grozi mu utrata życia; 2) w fabryce Repphaa i Scholtze przy ul. Waliców N. 28, maszyna urwała robotnikowi dwa palce i zmiażdżyła trzeci; 3) w fabryce Handkego, przy ul. Twardej, maszyna zgruchotała rękę robotnikowi,

gdyż smarował maszynę, będącą w ruchu, 4) w przędzalni Weillanda w Łodzi podczas zakładania pasa na szajbę robotnik został zabity; 4) w Łodzi w fabryce Lewkowicza pękła rura ogniowa i silnie pokaleczyła robotnika; 5) w Sosnowicach w fabryce mączki kostnej Lamprechta, kolo maszynowe jedną robotnicę zabiło, drugą zaś ranilo niebezpiecznie, skutkiem czego grozi jej utrata życia; 6) w tejże fabryce kolo rozpędowe zabiło robotnika.

Odpowiedzi od Redakcyi i Administracyi.

P. W. *Cyw. w P.* Pani Helena K. z W. i w tym roku w dalszym ciągu jest naszą prenumeratorką.

P. T. *Rusk. w Końsk.* Prosimy.

P. *Zero m Dorp.* Nie możemy naturalnie zbyt wiele miejsca udzielać wiadomościom z kraju nadbałtyckiego, chętnie jednak pomieszczamy będziemy korespondencyje o charakterze ogólniejszym, jak dwie już nadesłane, lub też z wiadomościami specjalnie nas interesującymi.

Od p. *R-skiego* rs. 2 na pomnik Ligonia otrzymaliśmy.

Stalemu prenumeratorkowi a S. W takim razie najlepiej wprost do Moskwy do Garbel i S-ki, gdyż, jak powiada ogłoszenie, adres wydawców pocztą jest znany.

OGŁOSZENIA GŁOSU.

Adres: Drukarnia A. Pajewskiego
12 Niecała.

Cena całego dzieła, Cena zeszytu
opłacona z góry 7 rs. 15 kop.

Encyklopedia
Encyklopedia
Encyklopedia

E. H.

Humoru
Humoru
Humoru

Cena tomu opłaconego z góry 2 rs. Wychodzi mniej więcej w odstępach tygodni.

ZAKŁAD GALWANICZNY
LUCYJANA KARDASZYŃSKIEGO
Czysta 8 w Warszawie Czysta 8.

Przyjmuje do odnawiania najbardziej zniszczone przedmioty, jakoto: srebra, platery i brzozy, oraz srebrzy, złoci i nikluje, tak sposobem galwanicznym, jako też i w ogniu.
6—6

NAUCZYCIELKA Z PATENTEM

Poszukuje korepetycyj i lekcyj: religii, języka ruskiego, arytmetyki oraz polskiego.
Piękna Nr. 34 m. 7.

Nakładem redakcyi Głosu wyszedł z druku
tom II
ZASAD SOCYJOLOGII
Herberta Spencera
w przekładzie J. K. Potockiego
Cena rs. 4 kop. 80.

Poprzednio wydany tom I kosztuje rs. 3.

Prenumeratorkowie „Głosu“ otrzymują 25% rabatu, wypisujący zaś wprost z redakcyi oprócz tego nie ponoszą kosztów przesyłki.

Skład główny w redakcyi, Warecka Nr. 9.
Księgarzom odstępujemy odpowiedni rabat.

Nakładem redakcyi GŁOSU wyszła w taniem, przeznaczonem dla ludu wydaniu powieść A. Lygasińskiego p. t. **KUBA GASIOR** (odbitka z drukowanej w piśmie naszym powieści **W chłopskiej rodzinie**). Cena egzemplarza (94 str.) kop. 15. Księgarzom i osobom nabywającym większą ilość egzemplarzy, odstępujemy stosowny rabat.

WYBÓR NAJCELNIEJSZYCH POWIEŚCI Aleksandra Dumasa (Ojca).

Stary Dumas należy do najcelniejszych powieściopisarzy, nie tylko we faancuzkiej, ale w całej literaturze europejskiej. Niezwykła zdolność interesującego przedstawienia epok dziejowych, tworzenia postaci pełnych życia, a tak uplastycznionych, że stoją jak żywe przed oczyma i na długo zachowują się w pamięci przez swą oryginalność; niezównana wreszcie pomysłowość w rozwijaniu wypadków, wszystko to zapewniło Dumasowi powodzenie olbrzymie. Czytelnik z zalem rozstaje się z jego powieściami, bo czytanie ich sprawia mu niewysłowioną przyjemność. Kiedy w literaturze naszej ukazały się arcydzieła historyczne Henryka Sienkiewicza: „Ogniem i Mieczem“, „Potop“ i „Pan Wołodyjowski“, krytyka prawie jednomyślnie zauważyła, iż mają one ten romantyzm szlachetny, który powieściom starego Dumasa zapewniał tak wielkie uznanie. Jest to pochwała zarazem dla obu znakomych pisarzy.

Wiele z powieści Dumasa nie zostało jeszcze na nasz język przełożonych, a te, które ukazały się przed półwiekiem, są też bardzo mało znane młodszemu pokoleniu i przy nieudolnym przekładzie, nie dają najmniejszego pojęcia o ich prawdziwej piękności. Z tego powodu, a także w przekonaniu, że dla tych, którzy z utworami autora „Trzech Muszkieterów“ zapoznali się przed laty, przyjemną będzie rzeczą przypomnieć sobie dawne wrażenia i porównywać je przy powtórnem czytaniu, podjęliśmy nowe wydanie najcelniejszych powieści Dumasa ojca, zarówno z nielomaczonych dotąd jak i łomaczonych przed laty.

Wydawnictwo rozpoczęte już zostało cyklem pięciu powieści pod ogólnym tytułem „Pamiętniki Lekarza“. Cykl ten stanowią powieści: **Józef Balsamo** czyli **Cagliostro**, **Naszyjnik Królowej**, **Anioł Pitou**, **Hrabina de Charny**, **Kawaler z Czerwonego Domu**, ogółem tomów 36. Na tle krwawych dzieł wieszłego wieku we Francyi, które sprawiły taki potężny przełom w cywilizacji wszechświatowej rozsznuwa autor nader zajmującą opowieść, wśród której występują postacie historyczne, roztaacza się cały przepych ówczesnej epoki obok przerażającej nędzy, a dramat kończy się tragiczną katastrofą na gilotynie. Efektowny też jest tu niezmiernie obraz ówczesnej masoneryi i nader ciekawie przedstawione są sceny z próbami snu magnetycznego, który wtedy całkiem był nowym odkryciem, a dziś tak interesuje zarówno uczonych, jak i tych, dla których nie może być obojętną tajemniczość natury ludzkiej.

Wydawnictwo wychodzi regularnie co 10 dni tomami, każdy tom zbroszurowany, w okładce zawiera od 230—256 stron druku na dobrym papierze.

W kantorze drukarni W. Noskowskiego Mazowiecka Nr. 11 nabywać można to wydawnictwo po cenie niezwykle niskiej, albowiem po kop. 15 za tom. Dotąd wyszło już tomów 4. W handlu księgarskim cena wynosi kop. 25.

Kupujący z prowincyi, celem zmniejszenia kosztów przesyłki pocztowej, nadsyłać winni należność przynajmniej za trzy tomy razem—a mianowicie kop. 45 za trzy tomy i kop. 30 za rekomendowaną przesyłką pocztą, czyli razem kop. 75.

Wydawca: **JÓZEF ŚLIWOWSKI**, redaktor Romansu i Powieści.

Ostrzeżenie. Ogłoszony oryginalny „Exsiccator” jest wtenczas prawdziwym, jak posiada przez Rząd zatwierdzoną markę fabryczną.

Medal Kraków 1887 r. Dyplom Honorowy. Symferopol 1888 r. Ważny dodatek do broszurki II wydanie z ilustracyjami bezpłatnie (franco).

ZATWIERDZONY PRZEZ RZĄD

EXSICCATOR

Osusza wilgoć, zabezpiecza od gnicia i grzybka, zastępuje farby. Broszurki bezpłatnie. — Inż. G. Ritter.

39 Królewska 39
POSZUKUJĘ AGENTÓW

Uwaga. Wynalazku mego nie należy porównywać z reklamowanymi w ostatnich czasach smolami (goudronity). Co do pochwały przez (smole) czyli Goudronit & Comp. skierowanej przeciw Exsiccatorowi w swoim czasie w kilkunastu pismach wykazałem bezzasadność i kłamliwość.